

odgłosy

KAROL BADZIAK

Gdy człowiek jest piłką ping-pongową

(Reportażo-groteska)

Chodzi o współistnienie. Lecz nie to współistnienie, które-
mu w imieniu trzech miliardów jednostek ludzkich kształ-
tuje twarz 1000 dyplomatów, z których co najmniej połowa
twarzy w ogóle nie posiada. Tym razem chodzi o współist-
nienie pod jednym sufitem, gdzie relacja jest jak 1:1, czło-
wiek kontra człowiek. W razie zaistnienia zbrojnego kon-
fliktu, każda z walczących stron dysponuje więc maximum
jednym żołnierzem płci męskiej, jednym płci żeńskiej i kil-
koma wyrostkami, którzy zamiast brać udział w iluzorycznej
bitwie Dalawarów z Majami nad Yukatan, uprawiają realną
partyzantkę w walce o substancję lokalową między Karpiń-
skimi a Kwaśniewskimi.

(„Syn. akt II C. 11214/60. Syn pozwanej Janusz wyrzuca różne nieczystości do skrzynki listów powódki. Obrzuca powódkę nieostoso-
nymi wyrazami. Mówi na powódkę „wstrętna swinia”. Grozi powódce mówiąc, że „zrobię z niej śmietanę”. Po-
wódka obawia się, żeby syn pozwanej nie dopuścił się względem niej spełnienia groźby (!) i nie naruszył nie-
tykalności cielesnej powód-
ki.”)

2.

Wiece poszedłem utartymi
szlakami, które jak zawsze
dostarczają memu notesowi
świeżego mięsa rzeczywisto-
ści. Mały domek jednorod-
zinny przy ul. Gontyna,
blok nr 18 przy ul. Marynar-
skiej, trzecia klatka, II-pię-
tro, pierwsze drzwi na pra-

wo, Drewnowska 41 m. 2,
Piotrkowska 69, Gdańska,
Zachodnia, Kolegium Orze-
kające, Sąd, Prokuratura,
Milicja, Kwaterunek.

Melduję: wielka wojna
białych ludzi trwa. Trwa
wielka wojna małych ludzi
z mniejszymi, blondynów z
brunetami, garbatych z
wklęsłymi, krewnych z po-
winowatymi. Wszystkich z
wszystkimi.

Miejsc: wspólne mieszka-
nie.

Kości niezgody: korytarz,
kuchnia, łazienka, ubikacja,
krzywy nos u współlokatora
lub zez współlokatorki.

Dalszy ciąg
na str. 8

„Komedia omyłek”
w Teatrze 7.15 Scena
zbiorowa
Fot. G. Puciato
RECENZJA NA STR. 9



Sarenka, którą opiekują się budowniczowie cementowni w Działoszynie.

EWA SULIBORSKA

OPTY- MIZM?

W tradycyjnej opinii szko-
ła, oznaczająca zakład, gdzie
nauczycielka w okularach
wbija do głowy sennych
uczniów nudne formułki.
Szkoła utożsamia się z in-
stytucją, która nie podlega
czasowi, przypięczelowana i
uwierdzona dzwonkami na
lekcję i zgiełkiem przerw.
Ten przekazany nam w li-
teraturze i poparty niekie-
dy pamięcią obraz należy
nieco skorygować. W przecią-
gu kilku ostatnich lat w
szkole nastąpiły zmiany. I to
zmiany dość korzystne. Pi-
sze — korzystne, gdyż chce-
ten fakt szczególnie podkre-
ślić. W dotychczasowym prze-
biegu dyskusji o szkole wię-
cej doład widzieliśmy minu-
sów niż plusów, rysuje się
więcej obraz trochę niesprawie-
dliwy. Pragnę więc oddać co
boskie Bogu, cesarzowi co ce-
sarskie.

W Technikum Energetycz-
nym chłopcy w porządkach
granatowych mundurkach cze-
kają na rozpoczęcie lekcji.
Na korytarzach dyżurni z
uczniowskiego samorządu. Na
jednym z korytarzy spoty-
kam dyżurującą matkę. Inży-
nier Bobrek oprowadzając
mnie po szkole wyjaśnia:
„rodzice powołali przy szko-
le komórkę partyjną, która
bardzo żywo uczestniczy w
naszym życiu. Oto jedna z
form pomocy niesionej szko-
le.”

A Technikum Energetyczne
nie jest jedyną przeciw szko-
łą w Łodzi, w której współ-
działanie młodzieży i rodzi-
ców przynosi tak piękne re-
zultaty. O to nam trochę w
dyskusji chodzi.

Usilne staranie niektórych
wychowawców mające na ce-
lu wciągnięcie młodzieży do
świadomego i samodzielnego
uczestnictwa w pracy szkol-
nej, przybiera realne kształ-
ty.

Kierowniczka Szkoły 123,
propagatorka i entuzjastka
szkolnych samorządów uka-
zała mi bardzo budujący ob-
raz pracy dzieci. Przegląda-
łam kroniki samorządu, ogła-
dałam szkolną i klasową ga-
zecie Dzieci w Szkole 123
od najmłodszych klas przy-
zwyczajają się do uczestnic-
twa w publicznym życiu, uczą
się wspólnej pracy i odpo-
wiedzialności. Przede wszyst-
kim dzięki uczestnictwu w

samorządzie uczniowskim, któ-
rego praca jest bardzo roz-
budowana i wielostronna.
Dzieci w samorządowych
sekcjach same decydują o
wielu sprawach dotyczących
szkoły. Im powierzają się in-
icjalny, one podają projek-
ty i korygują swoją pracę.
Mamy tu więc do czynienia
ze szkołą, w której młodzież
ma coś do powiedzenia. Do
ść duże coś.

Kierownik szkoły, p. Jabl-
kiewicz twierdzi, że to prze-
konanie o wadze podejmowa-
nych zadań o samodzielności
ich wykonania jest szcze-
gólnie pomocne szkole. „Dzie-
ci nie lubią gdy interweniu-
ją dorośli. Trzeba im pozos-
tawiać inicjalny, ale trze-
ba opiekować się i interes-
sować ich pracą. A nade
wszystko trzeba skrupulatnie
żądać wykonania podjętych
zobowiązań. Uczenie, a prze-
de wszystkim wychowanie wy-
maga konsekwencji.”

Młodzież bardzo chętnie po-
dejmuje określone prace w
szkole — stwierdzają nauczy-
ciele. Samorząd we wszyst-
kich niemal szkołach świetnie
spełnia wszystkie obowiązki
związane z utrzymaniem por-
ządku, wraz z organizacjami
młodzieżowymi organizuje
wszelkiego typu imprezy i u-
roczystości. Trudniej jednak
przychodzi nauczycielom wci-
ganie młodzieży do systema-
tycznej nauki. „Młodzież uczy
się niechętnie, nie wykazuje
specjalnego zainteresowania
nauką” — oświadcza więk-
szość nauczycieli. W niektó-
rych szkołach organizuje się
współzawodnictwa między kla-
sami, nie zawsze jednak akcje
te dają pozytywne rezultaty.

Dyrektor jednej ze szkół po-
wiedział mi na przykład, że
porzucano tę formę pracy, po-
nieważ zbyt zaangażowani
byli uczniowie w wyniku za-
wodów nauczyciele walczą-
cych klas. Szkoły próbują
wciągać do akcji podnosze-
nia wyników nauczania
także komitety rodziciels-
kie. W większości istnieje
system tzw. trójek klasowych.
Rodzice przychodzą na lek-

EWA OSTROWSKA

DEPESZA z DZIAŁOSZYNA

1. DALEKO OD ŁODZI

„Na stacji Chandra Unyń-
ska, gdzieś w morderczym
powiecie...” Na tej stacji nie
przystawały pociągi pociąg-
ne. Z osobowych, leniwie
telepiących się, zniszczonych
składow wysiadało na niej
niewiele podróżnych — sta-
cja nędzna, powiat daleki, i
co tam robić? Ludzie wiedli
w miasteczku swoje cichut-
kie, biedniutkie życie, ozdabiane
pelargoniami w ok-
nach, urozmaicone plotka-
mi o sąsiadach, z małymi
zmartwieniami, że chleb w
spółdzielni czerstwy, z se-
sacyjkami w rodzaju: „Kiel-
basę szynkową przywieźli!”

— bo dostawa wędlin przy-
padała raz na tydzień.

Niewiele się zmieniło w
ciągu piętnastu lat od daty
wyzwolenia. Mieszkało się
w tych samych domkach,
ze studniami i wychodkami
na podwórzu. Zawód szew-
ca przechodził z ojca na sy-
na. — „Ano, żyło się”. Lu-
dzie znali się wokół i z
imienia ojca i z nazwiska
dziada. Do Łodzi, miasta
wojewódzkiego było stąd
tak samo daleko jak przed
wojną. Pewno, młodzi to i
wyjeżdżali za robotą do fa-
bryk, na Śląsk do kopalń,
ale życie płotło się jak one-
gdaj — dawniej.

Najuboższy powiat. Wciąż

Domy poburzyć. Ziemię za-
brać. — Poszły w ruch plot-
ki, przypowieści, zażegn-
wania, nieufności. Śmiało
można założyć, że niejedną
na mszę dałwał — przecież
ziemię zabiorą! Lasy wszyst-
ciutkie dookoła wytną! Co
będzie? Ale też i ciekawość
— Jak będzie?

2. BUDOWA
CEMENTOWNI
— ROZPOCZĘTA

Głowy nie dam, czy aby
tak dumnie anonsowano o
rozpoczęciu prac budowl-
nych jednej z największych
cementowni w Polsce. W
każdym razie mieszkańcy

Działoszyna teraz tak mó-
wią „...w pół roku, jak u
nas zaczęli budować...” „W
rok, jak u nas zaczęli budo-
wać...” — Dla Działoszyna i
okolicy kalendarz ożył, czas
szybko ruszył z miejsca.

Chociażby z takim chle-
bem, — świeży można dos-
tać, i wędliny częściej niż
raz na tydzień. Dają nowe
mieszkania, z wygodami, z
łazienką, a jakże, do wygód-
ki w podwórzu biegać nie
trzeba, ładne mieszkania,
nowoczesne. A w samym
Działoszynie te stare domy
kanalizują, woda na miejscu
będzie. Chociażby i praca
pod bokiem, fach sam się
pcha, jeżeli chętny, a jakże,
bo jak u nas dwa lata temu
zaczęli budować...

Zaczęli dosłownie przy lam-
pach naftowych i świecz-
kach. Pierwsi inżynierowie
mieszkali po okolicznych
chałupach „na prywatkach”.
Wiadomo — początki zawsze
najtrudniejsze, „tylko czemu
nikt tutaj nami się nie in-
teresował jakeśmy zaczyna-
li? Czy nakład pracy pozwo-
li się ocenić, jeżeli o jej po-

Dokończenie
na str.

6

Dalszy ciąg
na str. 4

Srodki spozywcze i farmacja? Sądziłam, że farmacja to leki, prawdziwie zaś odżywia- nie to medycyna. Czyż- bym aż tak bardzo by- ła w błędzie?

— Tak jak rozróżniamy „ars medica” i „res medica” mo- żemy rozdzielić zakres zainteresowań Wydziału Lekar- skiego i Wydziału Farmaceu- tycznego. Oprócz bowiem ty- powych leków stanowiących substancje lecznicze mamy również i nietypowe, do któ- rych należy żywność.

— Czy jest to opinia nowo- czesnej nauki?

— Jak najbardziej nowocze- snej. Żywność może być trak- towana jako lek, ponieważ zawiera składniki bardzo czę- sto czynne farmakologicznie a w wielu wypadkach zawiera składniki wspomagające le- czenie.

— Na przykład?

— Np. jeżeli poszukujemy witamin, to możemy je zna- leźć albo w preparatach far- maceutycznych albo w pro- duktach żywnościowych. Trak- tując młodzieńca, jako zagad- nienie w dużym stopniu zwią- zane ze sposobem odżywiania musimy uwzględnić, że oleje roślinne zawierają duże ilości kwasów tłuszczowych nienasy- conych, przeciwdziałających zwiększeniu zawartości chole- sterolu we krwi, dzięki czemu oleje te uważać możemy śmiało za leki. Tak samo jak czosnek i cebula. W ten spo- sób możemy całą żywność traktować jako zespół skład- ników, z których każdy może wykazywać pewną ilość ciał czynnych znajdujących zasto- sowanie w lecznictwie.

— Jak z punktu widzenia nauki przedstawia się odży- wianie ludzi?

— Swojego czasu byłem kie- rownikiem Oddziału Żywności i Żywności w Woj. Stacji Sa- nitarnej Epidemiologicznej w Łodzi. Wtedy zajmowałem się zagadnieniem zbiorowego ży- wienia w różnych jego po- staciach (żłobki, przedszkola, szpitale, szkoły, restauracje, itp.). Obecnie najwięcej uwagi poświęcamy zagadnieniom ży- wienia studentów korzystają- cych ze stołówek akademick- ich. Na ten temat rok temu była wykonana większa praca w ramach sennickiej Komisji Zdrowia Studenta AM w Ło- dzi.

— Jak więc odżywiają się łódzcy studenci?

— Porównaliśmy odżywianie studentów naszej Akademii Medycznej z odżywianiem stu- dentów w Leningradzie. Re- zultaty tych dociekań były bardzo ciekawe. Doszliśmy do wniosku, że średnio dzienne

żywienie studenta lenin- gradzkiego jest bardziej róż- norodne pod względem skład- ników pokarmowych. Zwraca- ją uwagę zwłaszcza owoce, czarny chleb i mleko oraz różnorodność spożywanego mięsa (ptactwo i ryby) w prze- ciwnieństwie do żywienia studenta łódzkiego, który od- czuwa niedobór tych artyku- łów.

— Okazuje się więc, że tak- jak i u przeciętnego łodzian- na — tak i wśród studentów łódzkich największą popular- nością cieszy się tradycyjny „schaboszek”?

— Tak. Badania wykazały, że przeważającą ilość mięsa w żywności łodzian stanowi wieprzowina. Pożywienie stu- denta w Leningradzie jest na- tomiast wprawdzie uboższe w kalorie, ale rozłożenie procen- towe całodziennego zapotrze- bowania kalorycznego jest bardziej właściwe.

— Jakich składników naj- bardziej skąpi nam łódzka ku- chnia?

— Wśród łódzkich studen- tów, (a wydaje się, że uwagi te nie dotyczą tylko tej grupy ludności naszego miasta) spo- żywcie warzyw i owoców za- wierających witaminę „A” kształtuje się poniżej normy żywienia ledwo wystarcza- jącego. To samo dotyczy wi- taminy „C”. Natomiast spoży- cie cukru i słodczy, mięsa oraz ziemniaków kształtuje się powyżej spożycia wystar- czającego. Mleko, jako rezer- wa białka uzupełniającego, wapnia, fosforu w postaci sa- mego mleka i serów osiąga wartość zaledwie 96 gramów dziennie na osobę, co jest o wiele za mało.

— Słowem odżywiamy się kalorycznie, ale mało witami- nowo. Jak to się odbija na rozwoju organizmu człowieka?

— Ta wysokokaloryczna die- ta zamiast alkalizować us- trój raczej go zakwasza. A w dietetyce jest przyjęte, że właśnie dieta alkaliczna jest korzystniejsza dla ustroju.

— A dieta „cud”. Czy mo- żna ją stosować bez obawy o zdrowie?

— Można, ale po dokładnym skonsultowaniu tych spraw z lekarzem. Stosowanie jej na własną rękę może spowodować ostre zaburzenia czynno- ściowe o rozmaitych dla ustro- ju skutkach.

— Co więc należy uczynić, aby utracić kilka kilogramów wagi? Kobiety, marzące o mo- dnej na wiosnę smukłej syl- wetce, będą Panu wdzięczne Panie Profesorze...

— Są dwie drogi. Albo od- chudzać się świadomie i cier- pieć głód, albo też poprzez zadziałanie farmakologiczne

ROZMOWA ODGŁOSÓW II

prof. dr KAZIMIERZEM
MONIKOWSKIM
kier. Zakładu Nauki o Środkach
Spożywczych Wydziału
Farmaceutycznego AM

- o:
- ★ produktach jako takich
 - ★ odżywianiu łodzian
 - ★ mleku i odchudzaniu
 - ★ działalności naukowej Zakładu

zmniejszyć przemianę materii. Jest to zagadnienie odrębne, które należy omówić po bez- pośrednim zbadaniu się u le- karza. Z środków nieszkodli- wych polecić mogę jedynie mleko chude zakwaszone bak- teriami acidofilowymi, które wyróżniają się tym, że dosko- nale adoptują się w jelitach ludzi dorosłych. Ponieważ są to bakterie produkujące czysty kwas mlekowy używanie takie go mleka nie tylko pomaga w utrzymaniu linii, ale i zapo- biega wszelkim niepożądanym procesom fermentacji. Stoso- wanie tego mleka w celach dietetycznych szeroko jest sto- sowane na Zachodzie.

Ponadto do takiej diety wchodzi jarzyny, owoce, chu- de mięso, sałata, soki owocowe i jarzynowe.

— A u nas, czy istnieją moż- liwości wyrobienia tego rodza- ju „odchudzającego” mleka?

— Jak najbardziej.

— Dlaczego więc nie ma go w barach mlecznych ani w sklepach?

— Na to pytanie może Pani odpowiedzieć raczej dyrektor Okręgowej Mleczarni w Ło- dzi.

— A zwykle mleko... Czy

dieta mleczna może w jakimś stopniu spełnić zadanie od- chudzającej diety „cud”?

— Korzystne wpływy mleka na ustrój człowieka znane są nie od dziś. Cesarzowa Poepa kapłała się w mleku dla za- chowania pięknej karnacji cia- ła zaś słynny uczonec rosyjski dr Miecznikow propagował mleko jako środek na wieczną młodość. Proszę zafundować sobie choćby dzienną dietę mleczną a przekona się Pani, że wiele z tych reklamowa- nych właściwości mleko po- siada.

— Może teraz parę słów o zakładzie. Nie wszyscy wiedzą, czym się zajmuje Zakład Nau- ki o Środkach Spożywczych i na czym polega jego działal- ność naukowa. Czy można więc prosić Pana Profesora o krótką informację na ten te- mat?

— Specyfika zakładu są w tej chwili zagadnienia bioche- miczne. Bieżąca tematyka jest następująca: aktywność pery- kodacyjna różnych produk- tów spożywczych w związku ze stratami witaminy „C” wy- stępującymi przy dłuższym magazynowaniu tych produk- tów. Drugi temat — to zagad- nienie przemian występują- cych pod wpływem enzymu



fostolipazy przy dojrzewaniu środków spożywczych. Trzeci zaś — to działanie fitonazy w procesie wyrobu i wypieku chleba.

— Co to wszystko oznacza w praktyce?

— Pierwszy temat wiąże się z zapobieganiem stratom wi- taminy „C”. Drugi — ze śle- dzeniem procesów dojrzewa- nia np. serów i ustalania kie- dy produkt po okresie dojrze- wania zaczyna się psuć. Trze- ci — z korzystnym dla orga- nizmu wykorzystaniem źródeł wapnia i fosforu występują- cych w chlebie w postaci nie- przyswajalnej.

W toku są prace doktorskie związane z zagadnieniami en- zymów w miodzie i badanie możliwego rozpoznania stanu chorobowego krwi na pod- stawie składu białka w mle- ku.

Prac magisterskich mamy od 4 do 8 rocznie. Tematem ich jest albo metodyka bada- nia produktów spożywczych, albo badania ich składników. Absolwenci V roku Wydziału Farmaceutycznego, którzy wy- konują te prace należą do tzw. kierunku analitycznego. Kieru- nek ten uruchomiony zaled- wie 2 lata temu służy do przy- gotowania farmaceutów w za- kresie analizy leków i żywno- ści, toksykologiczno-przemysło- wej analizy oraz analizy le- karskiej. Po otrzymaniu stori- magisterskich ci właśnie far- maceuci pracować będą w sta- cjach epidemiologicznych, w szpitalach i oczywiście w la- boratoriach badających leki farmaceutyczne.

— Ich działalność będzie więc miała duże zna- czenie dla zdrowia konsu- menta środków spożywczych?

— Ołbrzymie znaczenie. Ilość bowiem zatruczeń drogą wprowadzenia do ustroju szko- dliwych składników odży- wnych jest bardzo duża. Sły-

szala Pani zapewne o zatruc- ciach margaryną w NRF i w Holandii, wywołanych zawar- tością emulgatora nie zbadane- go pod względem toksyczno- ci, o masowych zatruciach po spożyciu zafałszowanej oliwy w Afryce, o zapaściach wy- stępujących po zjedzeniu kie- lbas, spowodowanych azoty- nem sodu użytym do pek- lowania mięsa i innych. In- terwencje naszych farmaceu- tów zapobiegają również i u nas zatruciom, jakim mogli- by ulec parę lat temu konsu- menci importowanych jabłek i winogron skrapianych w ce- lach konserwacji roztworem z zawartością miedzi i arsenu i wielu innym.

Jak poważne są to zagad- nienia świadczy powołanie międzynarodowej specjalnej komisji, która zajmuje się problemem dopuszczalności środków dodatkowych w żywno- ści. U nas również sprawy te objęte są ustawą o nadzo- rze nad żywnością. Ma ją zmienić nowa ustawa, której projekt został niedawno omo- wiony na posiedzeniu Rady Ministrów. Ustawa ta normuje warunki jakim ze względu na ochronę i umacnianie zdrowia ludzkości powinny odpowia- dać środki spożywane oraz przyrządy i opakowania.

O doniosłości zagadnień związanych z higieną żywie- nia i żywności oraz dietetyką świadczy na przykład infor- macja, jaką podało w grudniu 1961 roku „Życie Warszawy”, że Urząd Zdrowia w Stanach Zjednoczonych podejmuje ek- speryment w zakresie odży- wia zapobiegającego miażd- życy naczyń krwionośnych (wylewy krwiowe do mózgu, zawały itd.) obejmujący 100 tysięcy osób, w wieku 45—54 lat. Badania mają trwać 5 lat.

— Bardzo dziękuję Panie Profesorze za tak interesujące i dokładne informacje. Pomo- ga nam one na pewno inaczej spojrzeć na tak, zdawałoby się, zwykłe i nieskompliko- wane sprawy, za jakie wciąż jeszcze uważa się żywienie.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA



W Łodzi to nie uchodzi

U pana Albina Tyszkę imieniny były zawsze wesołe. W tym roku może szczegó- lniej. Bo to i pierwszy, (a więc przy forsie) i mizykant- wo w blokach się otrząsało. Jednym słowem podwójna okazja do „obłaniania”. A za- częło się raczej nieszczegół- nie. Z powodu tych zagra- nicznych żyletek którymi poharatał się niemilosłownie. Kupił je poprzedniego dnia, wprawdzie cena (1 sztuka — złotówkę) powinna zbudzić w nim niejako wątpliwo- ści, ale wiśniowy kolor opa- kowania, celofan, a nade wszystko dumny, ponętny, angielski napis: „De Luxe Safety Razor Blades” no i to zakończenie: „Made in Europa” — dokonały reszty.

— Widać od razu, że to europejski poziom! Niska ce- nę wytłumaczył sobie ogrom- nym eksportem. Dopiero dziś rano, kiedy ani rusz nie mógł „zebrać” włosów w okolicy grdyki i w końcu puściła mu się obficie krew kapląc na piżamę, zaklął szpetnie. W pierwszej chwili myślał, że nieuczciwi sprze- dawcy podmielił szlachetny angielski czy amerykański artykuł, alści na nożyku stwierdził również angiel-

ski napis: „De Luxe Finest Quality”. Zmienił żyletkę, ale kiedy i następna zrobił sobie poniżej nacięcia na jakieś dwa centymetry, taka konsekwencja (stłukł się kach przywiodła mu na myśl naszą kochaną Mazowiecką Rawę z jej słynnymi produk- tami. Ostatecznie przy pomocy kilku plastrów zabez- pieczających, zakończył jak- oś szczęśliwie poranny fa- tuusz.

Tymczasem w domu nor- malne — przedprzyjęciowe piekło! Kończą się torty, pa- ni Albina podenerwowana niesamowicie (stłukł się właśnie półmisek wypożyczo- ny z PSS), przygotowane fu- ry mięsowa, śledź, ryb, sa- latek i wody: czystej i „do- bieranej” (specialite de la maison) tajemnica p. Albi- na: kunsztowny roztwór spi- rytusu z dodatkiem wanilii, cukru, goździków czy czego tam jeszcze.

Od rana płyną depesze (nastarczyć z pięciolotów- kami dla listonosza nie moż- na) i kwiaty, kwiaty. Tele- gramy i „bilecki” odcyru- ją na cały głos latość.

— Depesza od Brzdąkow- skich!

— Zdobyli się! Pewnie nie przyjdą. Już na jakiś kwia- tek nie mogli się wysilić.

— No, myśmy o tej imie- ninach zupełnie zapomnieli.

— Znowu zaczynasz? Two- ja ukochna Halinka! Stara miłość nie rdzewieje.

— Mogłabyś choć dzisiaj... Wieczorem na stół przy- kryty niepotępalnym obrusem, zaczęły wjeżdżać sterty mię- siwa, wędlin, sałatek, śledzi- ków, sarynek i wszelkich ta- lerzy, talerzyków, kieliszków, kielichów, szklanek itd. itd. Pani domu zmordowana do ostatnich granic, przebra- ła się tylko co na wizytowo, kiedy poczęli napływać pierwsi goście.

W przedpokoju pocałunki, kordialne uścisłki: — Jak pa- ni cudownie wygląda! — Ko- pę lat!

— Stary, jak ty się świe- tnie trzymasz!

gospodarz i ofiarodawca by- li z lekką skostnieniem.

— Olesiu, nie pleć głupstw i idź do dzieci! — krzyknął ojciec usiłując jakoś zlikwi- dować sytuację.

— To nie głupstwa, to nie głupstwo! Pod spodem była trochę pęknięta, bo mi raz upadła. Zaraz poznałem. Mo- gę ci pokazać!

— Marsz w tej chwili do dzieci. Miałeś zabawić Za- bunię. Zapowiadałem ci prze- cież, żebyś się między doros- łymi nie pętał! Porozma- wiamy jutro!

Na takie dictum Oleś us- tąpił i wycofał się, a goście

Wszystkie rybki śpią w jeziorze

Prezenty. Pan Albin skrzy- wił się, kiedy otworzywszy książkę, którą właśnie otrzy- mał od serdecznych przy- jaciół, przeczytał tytuł: „Ro- gacz wspaniały”. Zwiertzył nitekczemną aluzję.

Goście już byli w komple- cie, kiedy dziesięcioletni sy- nek gospodarzy wpada do pokoju i wrzeszczy:

— Tata, ale kłno! Dosta- łem tę samą kryształową po- pielniczkę, coś ją w zeszłym roku podarował panu Ko- walczykowi!

Towarzystwo wybuchnęło gromkim śmiechem. Tylko

przystąpili do dzieła tj. do kielichów i zakąsek. Po kil- ku „kolejkach” temperatura się podniosła, sygnęły się bruderszafty, „stolaty”, prze- różne, coraz to bardziej za- wieście kawały. Próbowano śpiewać. Panie zaczęły róż- ne modne piosenki „Bambi- no”, „Dzieci Pireusu” itd., ale panowie jedynie byli w stanie porykiwać: „Bambi- no! Bambino!” lub „plew- szy, dzień, drugi dzień i tak do „dziesiątego dnia” tyle, że coraz głośniejsi i mniej czy- sto.

Woda lała się coraz obfi-

ciej. Panowie wykończyli za- pasy „czystej” (dla znaw- ców) i przeszli na słodszą- damską. Porzucono repertuar nowoczesny i teraz pano- wie podjęli stary i popularny w całym przedwojennym na- rodzie: wiązankę wojskową „Wszystko mi jedno moje u- kochanie”... i pikantną: „Wszystkie rybki śpią w je- ziorze”... Po każdej piosen- ce trzeba było przepłukać gardło, ewentualnie — „na- oliwić”. Wreszcie pan Karol, bobaterski baryton zespołu, przypomniał sobie z czasów podchorążówki kapitalną acz wcale nie krótką plo- senkę na wszystkie litery al- fabetu. Zaczynała się od me- tafizycznego stwierdzenia: „Anioł jest to służa boży”... Każda dwuwierszowa zwrotka kończyła się kapitalną, zastawką choćby cokolwiek frywolną pointą, którą panie przyjmowały zgorszonym, a przecież uciśnionym piskiem. Refren: — Bułallo Bill, Bu- fallo! — podejmowało całe towarzystwo. Kiedy pan Ka- rol doszedł był właśnie do litery „s” i rzywał jak dorzy- nany: „Smoking jest to ubiór kusi”... — gospodarz poprzę- mgliętkę alkoholową dojrzał przecież we drzwiach całą gromadkę dzieci (własnych i gości) z otwartymi buziami z zachwytem. Przepędził je- czem przed.

Zabawa osiągnęła punkt kulminacyjny. Próbowano tańczyć. Ale nie było abso- lutnie miejsca i tak niektóre panie w pewnej mierze sie- działy na kolanach sąsiada.

Ktoś zaproponował żeby stół odsunąć do samego ta- pezanu. Wówczas pan To- masz, chłop jak tur, któremu się potężnie już ze tba ku- rzyło, nie czekając na pomoc chwycił stół od spodu i po-

ciągnął do siebie. Stała się rzecz nieoczekiwana, a strasz- na. Stół był dwuczęściowy i pan Tomasz przesunął tylko jedną połowę. Po środku po- wstała pod obrusem szeroka szczelina, w którą z łos- kotem zwały się półmiski z sałatką, wędliną, butelki z wódką, kieliszki.

Ułab nie z tej ziemi!

W drugiej połowie marca a więc mniej więcej po dwóch tygodniach pewna grupka dzieci spotkała się na imieninach u Józka. Była i pani Tyszkowa ze swoją czterolatnią Lalunią. Były ciasteczka, cukierki, tort, oranżada, owoce. Była i „część artystyczna”: pani do- mu grała dzieciom na piani- nie, dzieci i dorośli obejrzel- li „Znak Zorro” w telewizji. Wreszcie ktoś poprosił żeby dzieci śpiewały lub deklamo- wały co umieją. Pierwsza zgłosiła się najmłodsza, pieś- czotka mamusi Lalunia. Wy- szła odważnie na środek po- koju, mamusia poprawiła jej fantastyczną kordę wpie- cioną w urocz blond włosy a dzieciątko lekko spłonię, zaśpie- wało cieniutko, niebiańskim gło- skiem:

„Bejlin miasto w Niemczech le- ży Bułallo Bill, Bułallo.

Bujdel — zakład dla młodzieży... Mamusia nie po- zwoliła dziecku śpiewać dalszych zwrotek,



ojciec Wirgiliusz

B.B. i jej partnerzy

Francuski tygodnik filmowy „Cinemonde” pod nie-
wzajemnym wpływem rozsze-
rzającej się ostatnio mody
na wszelkiego rodzaju do-
ciekania na temat tzw. du-
żego człowieka, przeprowa-
dził wnikliwą ankietę psy-
chologiczną wśród męskich
partnerów filmowych Bri-
gitte Bardot. Naukowo sformu-
lowany kształt ankiety
dotyczył uczuć jakich doś-
wiadczali owi partnerzy
trzymając w swych ramio-
nach samą BB — przedmiot
westchnień tylu milionów
mężczyzn na całym świecie.
Jean-Luis Trintignant —
partner Brigitte z filmu
„I Bóg stworzył kobietę”
oświadczył: „Co odczuwałem
trzymając w ramionach Bri-
gitkę? Oczywiście że to było
cudowne. Trzeba jednak po-
zostawić w spokoju te roz-
dzierające wspomnienia po-
dobne do przepięknych za-
chodów słońca w Saint-Tro-
pez. Teraz cieszę się ogrom-
nie że zostałem ojcem uro-
czej córeczki. Od dawna już
powiedziałem „Zegnaj BB,
jest dobrze jak jest”.

Czarujący Alain Delon
zanim zagrał z BB jeden z
epizodów „Słynnych miłoś-
ci”, pozował z nią do zdję-

cia dla „Cinemondu”. „Obej-
mując po raz pierwszy BB
nie mogłem nie myśleć, że
możliwość tak intymnego
zblżenia się do tej cudow-
nej dziewczyny jest istnym
darem bogów. Ona przypo-
mina młodą Sulamitkę i przy-
wołała na myśl „Pieśń nad
Pieśniami”.

Popularny aktor włoski
Franco Interlenghi był part-
nerem BB w filmie „Na
wypadek nieszczęścia”. „Wy-
starczy spojrzeć — mówi
Interlenghi — na którąś z
naszych miłosnych scen w
tym filmie! Czyż chcecie, że-
by podczas kręcenia podob-
nych scen pozostać obojęt-
nym! Mój Boże! Kocham do
szaleństwa moją żonę Anto-
nellę Luadi. Ale mężczyz-
na jest tylko mężczyzną. A
dla nikogo nie stanowi ta-
jemnicy fakt iż Włosi mają
temperament raczej... ro-
mantyczny.”

Jean Gabin („Na wypadek
nieszczęścia”): — „Powie-
dzieć wam co odczuwałem
trzymając w ramionach tę
smarkulę obdarzoną wielkim
talentem? No nie, za kogo
wy mnie bierzecie? Mówimy
raczej o moich owcach, mo-
ich kurach i o mojej żonie”.

Flegmatyczny, ale niezwy-

kle, jak wszyscy Anglicy
(na ekranie), przystojny
Stephen Boyd („Księżycowi
jubilerzy”):

„Sam Vadim powiedział,
że w trakcie realizacji fil-
mu stosunki między mną, a
Brigitką nie układały się
najlepiej. Ja będę bardziej
obiektywny. Jako nieodrod-
ny Anglik, nieustannie dzi-
wiący się zaskakującej ży-
wiotowości Francuzek, uwa-
żałem ją często za kobietę
kapryśną, niezrozumiałą, o
zbyt gwałtownym tempera-
mencie. A jednak, jaka to
śliczna dziewczyna! Szatowa
babka! I wierzę mi, obej-
mując ją zapomniałem o
wszystkich moich preten-
sjach. I to było wcale, wcale
przyjemne...”

Sam Frey — wielka miłość
Bardotki i partner z filmu
„Prawda”: — „Nigdy nie lu-
biłem mówić o moich miłoś-
ciach. Nie powiem wam więc
ani słowa o moim uczuciu
do Bardotki. Niemniej, po-
zostanie faktem, że namie-
tne sceny „Prawdy” (i wszy-
scy o tym, niestety, wiedzą)
były początkiem najwięk-
szych wzruszeń mego życia.
Jakże mogło być inaczej?
To był film magiczny. Zmie-
nił moją przyszłość.



ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„GARBUS”

Tak jak dotknięcie się czy-
jegoś garbu przynosi pomoc
fortunę, tak chyba nie będzie
przesadą, jeżeli robiąc ana-
logię napisze się, że dla CWF
wejście na ekrany „Garbusa”
raz Andre Hunebelle jest o-
kazją dla przekroczenia pla-
nowanych zysków. Nie ma
się co dziwić, że niektórzy
podobno od wczesnych go-
dzin porannych wystają przed
kasami kin wyświetlających
„Garbusa”. Ostatnie tygodnie
w naszych kinach ożyły jakoś
bardzo suche pod względem
ilości filmów przygodowych i
kostiumowych. Do tej oschło-
ści repertuaru niewątpliwie
przyczyniły się premiery pol-
skich filmów, które w swej
większości okazały się jedy-
nie, jak to określają mniej
złośliwie usposobieni krytycy
— „próbami lansowania wła-
snych koników, na tyle sła-
bych i niskich, żeby nie po-
zbywać się jak się z nich spadnie”.

„Garbus” nie jest filmem
najprzedszytnym w swym

gatunku, daleko mu do fil-
mów klasy np. „Fałszywa Tu-
lipana”. Scenariusz wg po-
wieści Paula Feyała nie ma
też błyskotliwości i ironii,
płynności, co wspomniany
film Christiana Jacquesa. Dość
schematyczna historyjka o
dobrym rycerzu, jego spryt-
nym słudze i czarnym cha-
rakterze dybiącym na nie-
winną jak anioł córkę ksią-
żęcą, na szczęście okraszona
została barwnymi panoramicz-
nymi zdjęciami, kostiumami i
intrygami z czasów panowa-
nia „króla słońce” — Lud-
wika XIV.

Dobre tempo, wiele szere-
mierzki i trupów czynią ten
film dla znacznej części wi-
dów bardzo atrakcyjnym.
Aktorstwo nie stoi tutaj na
wysokościach. Podstarzały choć
przystojny Jean Marais sta-
nowczo nie pasuje do roli
szlachetnego rycerza poślu-
biającego w efekcie swych
szermierczych zmagani, 16-
letnią księżniczkę w wykon-
aniu dość urodziwej ale nieco
sztywnej Sabiny Selman, (od-
twarza ona także rolę matki).
Jedynie chyba świetny Bour-
vil w roli Passepoila rzeczy-
wiście wnosi do filmu sporo
beztroskiego humoru i ludo-
wej bezpretensjonalności.
„Garbusa” nie potrzeba re-
klamować a krytyczne uwagi,
które tu padły nie powinny
odstraszać widzów.



Zobaczymy na ekranach

Reż. Karel Reisz z pochodze-
nia Czech, był do roku 1960
angielskim krytykiem filmowym
i realizatorem filmów doku-
mentalnych m. in. nastrojowe-
go reportażu filmowego z klu-
bu jazzowego pt. „Mamma Don't
Allow”, który zrealizował wspólnie
z Tony Richardsonem, czo-
lowym reżyserem tzw. „nowej
fali angielskiej”, autorem wy-
świetlanego u nas „Muscle-
Hallu”, „Z soboty na niedzielę”
jest pierwszym filmem fa-
bularnym Reisza, za który zdo-
był nagrodę Związku Brytyj-
skich Krytyków Filmowych, a
na festiwalu w Mardel Plata aż
cztery nagrody — Grand Prix
Festiwalu, nagrodę za najlep-
szą rolę męską, nagrodę za naj-
lepszego scenarzystę oraz nagrodę
Międzynarodowej Federacji Kry-
tyki Filmowej (FIPRESCI). „Z
soboty na niedzielę” jest fil-
mem zaliczanym przez kryty-
kę zachodnią do czołowych dzieł
„nowej fali angielskiej” sta-
wianych obok „Miejsca na gó-
rze” i wspomnianego „Muscle-
Hallu”. W swym filmie Reisz
daje wycinek życia angielskiego
młodego robotnika, ukazuje je-
go zainteresowania, poglądy na
współczesny świat. Główne role
grają: Albert Finney, Shirley
Anne Field, Rachel Roberts.

Niewątpliwie wielkim powo-
dzeniem będzie się cieszył we-
stern „Dyllizans”, który zreali-
zował znany reżyser amerykań-
ski John Ford, twórca „Miasta
bezwprawia”, „Gron gniewu”,
„Spokojnego człowieka”, „Zie-
lonej Doliny”. „Dyllizans” zre-
alizowany został w 1939 r., w
tym samym roku otrzymał dwa
„Oscary” — za najlepszą oprawę
muzyczną i za kreację aktor-
ską Thomasa Mitchella znanego
u nas z „Historii jednego
fraka”, „Dzwonnika z Notre-
Dame”, „Siomianego wdowca”.
Oprócz Mitchella w „Dyllizan-
sie” grają: John Wayne („Spo-
kojny człowiek”, „Noc nad Pa-
cyfikiem”) oraz Dudle Michols
(„Mściwy jastrząb”, „Komu bi-
je dzwón”).

A. N.

odgłosy str. 3

EWA OSTROWSKA

„KOMEDIANTY”

Zła passa przyszła na polskie filmy. Zaden nie potrafił
zaskarbić łask krytyki, a co gorzej — uznania widowni.
Powiedzmy na usprawiedliwienie: dużo debiutów, i nie
każdy debiut musi od razu okazać się genialnym. Jak
natomiast usprawiedliwić rozczarowanie na przykład wo-
bec „Wyroku” Passendorfera? Film, pomimo chwytli-
wego tematu, plejady znakomitości w czołówce, aprobaty
nie zyskał. A Passendorfer jest bądź co bądź doświad-
czonym reżyserem, mającym na swoim koncie twórczym
między innymi uznany „Powrót”. Określając delikatnie
— tak, chyba to zła passa. Jej trwanie w rozciągłości po-
twierdza nowy film Marii Kaniewskiej: „Komedianty”.
Zjawisko to tym smutniejsze, że szeroko zapowiadany
przez zgrabnie montowaną reklamę prasową film Ka-
niewskiej wywołał zrozumiałe zainteresowanie. Maria
Kaniewska zyskała sobie niebagatelną przychylność uda-
nymi, bezpretensjonalnymi adaptacjami Makuszyńskie-
go, aktorzy nawet w epizodach znamienici, debiutująca
w głównej roli Dziuni aktorka krakowskiego teatru jak
każda nowość — dodatkową atrakcją, wreszcie interesują-
cy sam temat, oparty na popularnej powieści Sewera „U
progu sztuki”. Kulisy życia teatralnego kryją nieogranic-
zone możliwości dla zbudowania wartkiej, intrygującej
akcji: obyczajowość, psychologia, melodramat, tragiko-
mediowe sytuacje, pikanteria — właśnie mniej więcej
w takim tonie informowały niecierpliwych widzów ser-
wisy zdjęć w prasie, polecających PT Publiczności polski
film „Komedianty”.

Rzeczywiście, możliwości było sporo, a Maria Kaniew-
ska wraz ze Sciborem-Rylskim widocznie postanowili nie

zrezygnować z żadnej, wszystkie wykorzystać do maksi-
mum. W ten prosty sposób „Komedianty” zawierają po-
trochę z każdej kombinacji, w sumie nie tworząc żadnej
całości. Z prawie dwugodzinnej, nużącej i dłużącej się
projekcji, dowiadujemy się ostatecznie rewelacyjnej
prawdy — że droga do sławy ongiś była trudna, żmudna
i niewiedząca, że młode adepty Melpomeny CNOTLIWE
i NIEPRZEDAJNE, ZYJĄCE wyłącznie dla sztuki i szlu-
ka, zaś mężczyźni wszeteczni, interesowni, czyhający na
wdzięki biednych, nieświadomych ich cynizmu i podstęp-
ów aktorek i najważniejsze! — że prawdziwa sztuka
pokonuje w końcu wszelkie trudności, co zaprezentowa-
no pouczająco na przykładzie bohaterki filmu, Dziuni,
która wychodzi z przesładującego ją złego losu (patrz:
nikczemni mężczyźni) z podniesionym czołem. Mój Bo-
że, jakie to wszystko smutne i naiwne. Nawet sceny, za-
prawione wątpliwym posmaczkami pikanterii, nie są
w stanie uratować dla filmu „strony rozrywkowej”. Rów-
nież nie ratuje „Komediantów” obsada aktorska. Smut-
no wypadł w roli ambitnie przebijającego się do wawrzy-
nów sławy scenicznej Janka — Henryk Boukołowski, ba-
nalnie — Ewa Radzikowska, jako schematyczna Dziunia,
Hanna Skarżanka zatraciła swój temperament w roli apo-
dyktycznej Dyktatorowej. Sprowadzony do poziomu mo-
realizatorskiego komunału scenariusz Scibor-Rylskiego,
utrzymany przez reżysera Kaniewską w śmiertelnie po-
ważnej atmosferze, nie zaważył w rezultacie ani na je-
den mały uśmiech zadowolenia, lecz przeciwnie, wywo-
luje przykry uśmiech politowania, za którym widać nie
przepada, bo i z jakiej racji on ma się żenować za nie-
wypały rodzimnej produkcji?



Dyr. XIII LO p. Macherowa



Inż. Bobrek z Technikum Energetycznego
Fot. E. Kudaj



Kierowniczka Szkoły Podstawowej nr 123 p. Jabłkiewicz

Dalszy ciąg ze str. 1

cje, odwiedzają domy dzieci, mających słopnie niedo-
stać. Są jednak nauczyciele, którzy uważają ten system za zdecydowanie zły i w gruncie rzeczy nie przynosi-
jący żadnych rezultatów. Trze-
ba jednak stwierdzić, że są
szkoły, w których udaje się
tę atmosferę nauki wypra-
cować. W gruncie jednak rze-
czy rodzice, wbrew pozorom,
nie stanowią jeszcze, wystar-
czająco silnego czynnika po-
mocnego w szkole i wycho-
waniu. Nasi rodzice zachowują się często tak, jakby to im stawiano dwójce i trójce z minusami, walczą wyłącznie o stopnie, a nie — moralne i ideowe oblicze własnych dzieci.

Nauczyciele wszystkich typów szkół narzekają na wciąż nienajlepsze programy, na przeciążenie młodzieży nauką. Mówi się w związku z tą sprawą o zmianie systemów lekcyjnych. Trudnością leżą tu nie tylko w nieodpowiednim przygotowaniu metodycznym nauczyciela, ale i w niezawsze odpowiednim wyposażeniu szkół. Trudno bowiem wyobrazić sobie wprowadzenie tych zmian bez jednoczesnego urządzenia nowoczesnych pracowni. W Szkole 123 na przykład na lekcjach polskiego wykorzystuje się płyty z nagraniami omawianych utworów. W XIII Liceum na języku francuskim korzysta się w klasie VIII z linguaphonu. W tymże Liceum oglądałam świetnie wyposażone pracownie: chemiczną, fizyczną i biologiczną. W kilku szkołach są magnetofony,

wykorzystywane w czasie lekcji. Podajemy zresztą, że w łódzkich liceach ogólnokształcących są już w tej chwili 32 pracownie fizyczne, 28 pracowni chemicznych i 7 pracowni biologicznych. A plan wydatków na pomoce naukowe w roku 1962 przewidyuje sumę 3.668.000 zł. (w 1960 roku wydano 2.373.581 zł, a w 1961 r. 3.682.000 zł). Problem nie ogranicza się zresztą tylko do odpowiedniego zaopatrzenia szkół w pomoce. Istnieje szereg kłopotów związanych z brakiem odpowiednich sal na pracow-

nie mapy i plansze. W 148 szkołach podstawowych zorganizowanych jest obecnie już 395 pracowni. A za niezbędne minimum przyjęto posiadanie przez szkołę 2 pracowni. Mobilizuje się fundusze pieniężne, szkoły czynią wszystko by służyć swojemu programowi do wymogów współczesnego życia. Bo też politelnizacja to oczko w głowie współczesnej szkoły. Wydatkowano 4.438.318 zł na odpowiednie wyposażenie szkół w pomoce i maszyny do zajęć politelnicznych. Wykształcenie młodzieży pomysliano w ten sposób, że w

Liceum powiedziała mi, że uczniowie jej szkoły wobec niewystarczającego wyposażenia pracowni będą chodzili do fabryki im. Strzelczyka, by tam odbywać 8-godzinny dzień pracy pod okiem fachowców. Hasło politelnizacji podjęto w 1959 roku, szkoły nie były do pracy przygotowane, nie było pomieszczeń, nauczycieli, programów.

Brak zwłaszcza nauczycieli. Proszę zauważyć, że na 53 nauczycieli, którzy prowadzą zajęcia techniczne w tzw. ogólniakiach, tylko 7 pracuje na stałe, 23,4 proc. ukończyło tylko szkołę zawodową, 32 proc. posiada tylko dyplom studium nauczycielskiego.

Łódź nie posiada dotąd żadnego ośrodka kształcenia technicznego nauczycieli na poziomie wyższym.

Zapiszmy jeszcze, że politelnizacja obejmuje także prace pozaszkolne młodzieży: kursy samochodowo-motocyklowe, prace na działce szkolnej, a także prace w szkolnych kołach zainteresowań. Istnieje aż 27 typów tych kół. Wymieńmy tylko niektóre: fotograficzne, radiotechniczne, modelarstwa, filmowe, malarskie, języków obcych, literackie, racjonalnego żywienia, sprawnych rąk itd. W III Liceum istnieje na przykład aż 25 kół, co wy-

też kół racjonalnego żywienia (jedno w statystyce).

W ramach kół mieszczą się także prace w młodzieżowych organizacjach. Organizacją właściwie pozaszkolną, ale która powinna odgrywać i czasem odgrywa ważną rolę w życiu szkoły jest ZMS. Szkolne koła działają bardzo różnie. Czasem ich praca ogranicza się tylko do organizowania wieczorków tanecznych, czasem, jak w Technikum Ekonomicznym i Energetycznym, przybiera jakieś ciekawsze formy. W tym ostatnim na przykład istnieje klub ZMS pomyślany jako klub dzielnicowy, gdzie młodzież może nie tylko w sobotę tańczyć, ale w którym także odbywają się dyskusje nad książkami, pogadanki, czasem występy szkolnej estrady. W klubie tym podjęto interesującą inicjatywę. Zorganizowano tzw. teatr przy stoliku i wystawiono jednoaktówkę Saroyana „Jest tam kto”. Inżynier Bobrek, opiekun koła, opowiadał mi, że to przedstawienie wywołało prawdziwą burzę w toczące się potem dyskusji. Inżyniera Bobrka myślałam o starej prawdzie, że nie nie pobudza tak młodzieży, jak serdeczny niemal koleżeński stosunek, osobisty urok, bezpośredniość i zapal. Dobrze

rze, czasem podejmują te zagadnienia nauczyciele na lekcjach wychowawczych. W zasadzie przetruciono w tej chwili cały ciężar wychowania na te lekcje. Szkoły mają z tym niemałe kłopoty. Dotyczą one zarówno problemu wychowawczego, jak i tematyki, i metodologii w prowadzeniu tych lekcji. Został wprowadzony ułożony program podający najogólniej problematykę i systematykę zagadnień, które powinny być objęte na lekcjach wychowawczych, ale nie zawsze jest on umiejętnie i celowo stosowany. Zależy to w głównej mierze od umiejętności i inwencji nauczyciela, jego znajomości środowiska, a więc czynników wyznaczających zachowanie ucznia. Na ogół w szkołach średnich uczą nauczyciele przedmiotu, a nie nauczyciele wychowawcy. Tylko w III Liceum wychowawstwa podejmują się ci nauczyciele, którzy po pierwsze chcą mieć swoje klasy, po drugie są do tego jakoś przygotowani. We wszystkich innych szkołach wychowawcą musi być każdy nauczyciel. Dyrektorzy i kierownicy szkół rozkładają bezradnie ręce — „Co robić?”

Programem nauczania, czy dokształcania objęły także szkoły rodziców. Komitety rodzicielskie organizują pogadanki, zapraszają na prelekcje i odczyty znanych łódzkich lekarzy i profesorów. W Technikum Elektrycznym komórka partyjna komitetu rodzicielskiego prowadzi program wykładów. Toczy się także prace nad dokształcaniem nauczycieli i to zarówno w ramach WTKO, jak i w szkołach. Metodyczne uwagi otrzymują młodzi nauczyciele zarówno od dyrektorów, jak i od doświadczonych nauczycieli. Kierowniczka Szkoły 123 powiedziała mi na przykład, że z absolwentami UŁ, którzy zaczęli uczyć w jej szkole, prowadziła zajęcia z metodyki i psychologii dziecka. W Łodzi jest zapewne więcej szkół, w których kierownictwo podejmuje tego typu akcje wśród nauczycieli. Przedstawiłam niepełny i na pewno wymykowy obraz zagadnień związanych ze szkołą. Chodziło mi o dobre przykłady, o pokazanie może jeszcze niewystarczająco powszechnych wysiłków, zamknięcia trójkąta: nauczyciel — wychowanek — rodzice. Sądzę, że obraz szkoły anno domini 1962 skłania do optymizmu.

EWA SULIBORSKA

OPTYMYZM?

nie. Pamiętajmy, że tzw. wyż demograficzny będzie w najbliższym czasie naciśnięciem na szkoły średnie. Gdzieś się tyle ludzi zmieści, jeżeli perspektywy budownictwa szkolnego nie są — jak słyszałam — najlepsze.

W Szkole 123 zorganizowano na przykład z braku miejsca pracownie w niektórych klasach. Dzieci przychodzą do nich na odpowiednie lekcje. Następcza to spora kłopotów, ale umożliwia kompletowanie pomocy w jednej sali. W szkole tej bardzo pomysłowo zorganizowano na przykład pracownię geograficzną. W jednej z klas obudowano tak pomysłowo tablicę, że nauczyciel bez trudu może pokazywać uczniom odpowied-

szkołach podstawowych uczniowie poznają proste narzędzia pracy i zasadnicze materiały produkcyjne, a w szkołach średniej zapoznają się już z nowoczesnymi środkami produkcji. Do szkolnych pracowni zakupiono warsztaty stolarskie, pily, komplety narzędzi do obróbki drewna, szlifierki, wiertarki, tokarki, komplety narzędzi i metali, warsztaty ślusarskie i maszynowy do szycia, kupiono nawet samochody i motocykle. Zatrudnienie średnio 40 uczniów na lekcji wymaga niemałej przecież bazy materiałnej! Szkoły rozwiązują problemy jakie następcza nauka prostych czynności związanych z techniką rolniczą. Dyrektor Macherowa z XIII

daje się już przesadą, ale dyrektor Dębski twierdzi, że wszystkie one dość owocnie pracują. Nauczyciele twierdzą, że koła zainteresowań spełniają bardzo pozytywną rolę w wychowaniu, rozbudzają zdolności i inicjatywę uczniów, pogłębiają ich wiedzę. Zdaniem nauczycieli tego typu pozalekcyjne zajęcia nie wpływają ujemnie na wyniki nauczania. Inna rzecz — przeważają tradycyjne koła zainteresowań. Np. zdumiewa brak kół filmowych (statystyka kuratorium wykazuje jedno) nie ma kół związanych z telewizją, a przecież chodzi o aktywny stosunek do bieżących, współczesnych przejawów kultury. Między nami kobietami mówiąc, brakuje

zapowiada się praca w XXI LO.

Rozmawiałam z kilkoma nauczycielami o tzw. trudnościach wychowawczych. Twierdził na ogół, że są to trudności jednostkowe. Ze kłopoty sprawiają uczniowie, czasem dziewczynki palące papierosy, uczniowie spóźniający się na lekcje itd. Każda szkoła jednak i każdy wychowawca ma swoją melodie posłepowania w tych wypadkach. Coraz częściej rozwiązują szkoły trudne problemy jakie następcza wychowanie — przy pomocy pogadarek. W wielu szkołach organizowane są specjalne wykłady dotyczące problemów dojrzewania płciowego, zdrowia itd. Czasem pogadanki wygłaszają leka-

niebieskich opaskach naramiennych z takim samym żółtym kołkiem, albo po jasnobrązowej odzieży wierzchniej i wreszcie po naramiennych opaskach ze znakiem swastyki. Hasłem rozpoznawczym jest słowo „echo”. Podpisano — Rejs, major”.

W sytuacji kiedy nie przystojana armia polska cofa się w nieladzie, choć wielokrotnie po bohaterstwie próbowało stawiać opór zmechanizowanemu dywizjom hitlerowskim — tysiące aktywnych członków piątej kolumny pomaganych przez znakomite wyszkolonych dywersantów przetruczonych z Niemiec do Polski paraliżowało i dezorganizowało zaplecze kraju. Ucieczka rządu i dowództwa naczelnego armii polskiej wzmogła jeszcze bardziej panikę i chaos, pozostawiając kraj własnemu losowi. Nie pomogło bezprzykładne bohaterstwo polskich oddziałów wojskowych, nie pomogło obywatelskie poświęcenie i bohaterstwo ludności cywilnej Warszawy. Musiała skapitulować stolica Polski. Rozpoczął się koszmarny okres okupacji — skutkiem dwóch piorunujących uderzeń: z zewnątrz — 3.000 czołgów, 3.000 samolotów i ponad półtora miliona żołnierzy hitlerowskiej armii, a z



ciaż — trzeba to przyznać o-
biętywnie — nie wszyscy
Niemcy — obywateli Polski z
zachwytem przyjmowali politykę
Hitlera w Niemczech, nie
wszyscy godzili się z hitlerowską
polityką rewizji w stosunku do
Polski — to jednak dość było
wśród nich gorących głów, które
łapczywie chłony hitlerowską propagandę
1000-letniej Rzeszy. Zna-
komicie temu sprzyjał fakt, że
w Polsce okresu międzywojennego
miejscowi Niemcy zorganizowani
byli w tzw. „Ligę Niemców w Polsce”.
Organizacja ta — pozornie
mająca na celu podtrzymywanie
kulturalnych związków między
tą liczną mniejszością narodową — faktycznie kierowana
była z Berlina i co za tym idzie —
szerzyła wśród swych członków
ekstremistyczne nastroje. A kiedy
Hitler położył swą łapę na Austrii
i Czechosłowacji — głośno mówiono
w tej Lidze, że człon-

stało się to dopiero na skutek
wykrycia tajnych organizacji
niemieckich na Górnym Śląsku,
które przygotowywały powstanie
na tych terenach. Wielkie procesy
w Katowicach ujawniły całą polską
opinię społeczną: niebezpieczeństwo
piątej kolumny, i dzięki dużemu
naciskowi tej opinii władze
policyjne zaczęły dokładniej
przyglądać się działalności
Ligi i poszczególnych skupisk
mniejszości niemieckiej.

A tymczasem nad Polską
zawisły ciężkie chmury. 25
marca 1939 r. a więc w dzień
święty dla Polaków, przez Hitlera
Pragi, rząd Polski kategorycznie
odrzucał żądania niemieckie
w sprawie Gdańska i Korytarza,
ufny w pomoc Anglii i Francji.
Wiedomo już jak poczyniły się
dalšie wypadki. 28 kwietnia 1939
r. Hitler zerwał polsko-niemiecki
pakt o nieagresji. Wiadomo
było, że wojna może

go. Berlin stał notę za notą,
obciążając odpowiedzialnością
za te zbrodnie... „Polaków. Dywersanci
niemieccy i ci naciśnięci i ci z
miejscowej mniejszości coraz częściej
powodowali uszkodzenia szlaków
kolejowych. W okolicach Bydgoszczy,
Poznań i Katowice zauważono, że
miejscowa ludność niemiecka gwałtownie
zaczęła malować dachy i kominy
swych domów w rozmaite, jaskrawe
kolory. Latem 1939 roku wpłynął do
dowództwa wojskowego okręgu
melników jednego z polskich
lotników o tym, że w okolicach
Poznań, „ludzie wielu gospodarstw
wykoczono się w dziwny sposób,
nieregularnie...”.

25 sierpnia urząd pocztowy
w Łodzi przysłał następujący
telegram z Niemiec: „MATKA
UMARŁA, KUP WIENCE”.
Polski kontrwywiad zainteresował
się tym telegramem. Po nitce do
kłębka i w przeciągu kilkunastu
godzin zdekonspi-

rowano grupę miejscowych Niemców,
u których znaleziono 43 kilogramy
dynamitu ukrytego w puszkach
konserwowych z polskimi etykietami.
kilka dziesiątków rewolwerów,
kilka radiowych stacji nadawczych
i materiały wybuchowe z mechanizmami
zapalającymi. Wszystko pochodziło
z Niemiec... Aresztowano 24 osoby,
a wiadomo o tym bliskawicznie
obiegła cała Polska. Póderwano
na nogi cały aparat policyjny.
Zaczęto przeszukać każdy dom
niemiecki w Polsce. Posypały się
aresztowa-

łym przez niemiecką mniejszość
narodową, w drugim dniu wojny
znaleziono w zestrzelonym samolocie
niemieckim znamienity dokument.
Była to instrukcja dla wojsk
działających przeciw Polsce
„Markblatt zur Bekantgabe an die
gegen Polen eingesetzten Truppen”.
Dokument ten stwierdzał: „Niemieckie i inne
grupy w Polsce będą wspomagane
wojenne operacje niemieckich
sił zbrojnych... grupy te poznać
będzie można po czerwonych
chusteczkach z wymalowanym
pośrodku dużym żółtym kołkiem,
lub po

„MATKA UMARŁA, KUP WIENCE”

Statystyki mówiły różnie: polska
twierdziła, że jest ich 750
tysięcy, niemiecka — że milion.
W każdym razie ilość niemieckiej
mniejszości narodowej w Polsce
okresu międzywojennego była dość
znaczną. Na tyle w każdym razie,
aby mogły powstać liczne wielotysięczne
maki hitlerysty — wprawdzie kraj... „echo”

kwie tej powinni pomóc...
wtrągnięciu hitlerowców do
Polski.

Oweczesne władze polskie z
dziwną niefrasobliwością tole-
rowały znamienne posunięcia
członków Ligi, i tak nie bardzo
zwracali uwagę na fakt, że już
w połowie 1933 roku młodzi
Niemcy, mieszkający w Polsce
organizowali się w koła młodzieżowe
partii tzw. Jungdeutsche Partei i
nosili mundury ze znakiem swastyki...
Dopiero w trzy lata później
wydano odpowiednie zarządzenia,
zabraniające noszenia tego
rodzaju uniformy. Ale

być kwestia najbliższych
miejsc. Wówczas to zwrócono
baczna uwagę na poczynania
Niemców w Polsce. Za obser-
wacjami poszły wprawdzie fakty:
przesiedlania, aresztowania —
ale wszystko to było o wiele
spóźnione.

Bo oto, już na początku 1939
roku, przysłał w sukurs członkom
„Ligi Niemców w Polsce” setki
agentów niemieckiego kontrwywiadu
(Sicherheitsdienst), którzy przede
wszystkim prowadzili prowoka-
cyjną akcję: zaczęli się mścić
wypadki morderstw chłopów
ochodzenia niemieckie-

rowano grupę miejscowych Niemców,
u których znaleziono 43 kilogramy
dynamitu ukrytego w puszkach
konserwowych z polskimi etykietami.
kilka dziesiątków rewolwerów,
kilka radiowych stacji nadawczych
i materiały wybuchowe z mechanizmami
zapalającymi. Wszystko pochodziło
z Niemiec... Aresztowano 24 osoby,
a wiadomo o tym bliskawicznie
obiegła cała Polska. Póderwano
na nogi cały aparat policyjny.
Zaczęto przeszukać każdy dom
niemiecki w Polsce. Posypały się
aresztowa-

wymalowanym pośrodku dużym
żółtym kołkiem, lub po

wewnątrz — wiele dziesiątków
tysięcy licząca hydra piątej
kolumny, zdradco, dywersantów,
prowokatorów.





Pisarze: od lewej J. M. Rymkiewicz i Z. Nienacki na wystawie książek

Dwieście książek w Klubie

Tego jeszcze w Łodzi nie było! Klub MPIK otworzył niedawno wystawę książek pisarzy łódzkich. Na stoiskach w klubowej czytelni znalazło się dwieście książek dwudziestu ośmiu poetów i prozaików mieszkających i tworzących w Łodzi.

Oczywiście, do obejrzenia tej ekspozycji zachęcamy wszystkich — specjalnie jednak polecamy ją tym, którzy interesują się twórczością łódzkiego środowiska pisarskiego.

Dwieście książek łódzkich pisarzy (a wystawa nie pokazuje przecież wszystkiego) — to świadczy w jakiś sposób o aktywności środowiska literackiego. Wystawa jest przedsięwzięciem na pewno sensownym i jej znaczenie w propagowaniu twór-

czości łódzkich pisarzy jest bardzo duże.

A w ogóle szkoda, że prasa codzienna, której możliwości w tej mierze są większe od możliwości naszego tygodnika, nie wykorzystwała w pełni wystawy w celu popularyzacji zarówno sylwetek pisarzy jak i książek. Trudno, ale informacja, że książki ułożone są na wystawie w porządku alfabetycznym na pewno nie jest szczytem dobrej reklamy.

No, i wreszcie, jako że kumoterstwo nie jest w naszym kraju zjawiskiem specjalnie obcym, słowo o znajomych. Na dwieście eksponowanych książek osiemnastu napisał redaktorzy „Odgłosów”.

J. W.

Kto nie imponuje - ten nie je

Ta ostatnia niedziela w Zakopanem miała w sobie coś z polskiego odpustu. Kolorowe balony, piszczałki, pukawki, rzeźbione w drzewie orły ze składanymi skrzydłami, liżaki, cukrowa wata. Pod Krokwią na polanach spod płachetek dymity polowe kuchnie z serdelkami i bigosem. Napisy „TEA” i „Barszcz” wiały się jedno na tle ośnieżonych i lekko tym zdumionych Tatr. A był to ostatni dzień FIS, ukoronowanie Narciarskich Mistrzostw Świata. A więc nie na odpust, a na koncert, czy konkurs skoków zjechało te dwieście tysięcy ludzi. Czym kto mógł i jak mógł. Odkryte kabriolety, motocykle, samochody, autokary. Na jednym parkingu widziałem czarny

cytrynami i cytrynówkami. Po drodze sympatyczne Czeszki zrywały z głów Polek włochoate czapki i nabywały je za cenne dewizy. Po drodze „studio własne firmy „Radix” zachęcało do obejrzenia stoiska, w którym za chwilę miał się zacząć pokaz usuwania odcisków przy pomocy rewelacyjnego płynu i pasty „R”.

Słońce zaczynało z zakopiańska prażyć, a nad górami jak na każdym narodowym odpuscie, pardon, święcie unosił się helikopter Kroniki Filmowej. Tłum mimo to zmierzzał ku Krokwi, gdzie pierwszy skoczkiem świata mieli przeżyć najgorętszy dzień mistrzostw. Ryłem, że tak powiem na tyłach FIS, patrzyłem na narciarzy kiedy

Poleciały w niebo rakiety, opadły spadochrony z flagami uczestników FIS i lud spod Krokwi ruszył na Zakopane. Chwała się tam dziś, że handel wykonał swe plany w 300 procentach, a gastronomia w tyłu... Nie mówią ilu ludzi nie dostało nic do zjedzenia. Kolejki były wszędzie, zwłaszcza zakopiańskim tak długie, jak ta linowa na Kasprowy, alści nie sposób było nie zauważyć mnóstwa nowych pięknie urządzonych barów szybkiej obsługi, czyli mówiąc z francuska „bistro”. To nam po FIS zostanie, zostanie też pięknie urządzona skocznia na Krokwi, pozostanie wrażeń, że w Zakopanem obowiązuje prawo „kto nie imponuje — ten nie je”. Imponować można samochodem, obcym nocnym, nocy, a nawet zaś skromnością, która jest (niestety!) cechą prawdziwych turystów, miłośników gór. I dlatego na FIS był taki czas, kiedy stwierdzono znaczną ilość wolnych miejsc na kwaterach, a w Karkonoszach schroniska i domy czasowe pękały od tłoku. Bo my jesteśmy skromni, ale mamy po trosze dosyć kultu zagranicy. Dość jednak gorczy, choć z jej posmakiem wielu opuszczało Zakopane w niedzielne popołudnie. Ostatecznie usatysfakcjonowała wszystkich spikerka z dworca kolejowego, która z rozpedu nawet turystyczny pociąg do Łodzi zapowiedziała w czterech językach. Ludzie poculi się znowu równi. Z naszymi złoćkami.

Tekst i zdjęcia

WIESŁAW MACHEJKO



Ja tam się nie obrażam.

„STAR” przedsiębiorstwa pogrzebowego, którym pracownicy wybrali się na tę wyieczkę. Specjalne pociągi wyrzuciły jeszcze... „naście tysięcy i wszystko to w promieniach słońca po raz pierwszy rozbłysło nad FIS ruszyło na krokiewską polanę.

Po drodze wpadały w tłum laikarce, dzieci lkały na widok najprawdziwszych białych niedźwiedzi, które chwytaly je w łapy i zza ostrych kłów chrypały: „Takie zdjęcie to wdechowa pamiątka z Zakopanego”.

Po drodze były sklepy z

oczekiwali na skok. Byli skupieni i milczący. Poważni. Byłem na froncie, na polanie, na trybunach. Publiczność była serdeczna. Każdy udany skok opijano natychmiast. Gorące kielbaski pod ręką. Pod ręką grzane piwo. A że zawody miały poziom dość wyrównany i wysoki, tzn. każdy właściwie skok należało uczyć, wielu zapalonych kibiców oglądało trzecią kolejkę skoków (po której tam swojej kolejce) z pozycji horyzontalnej. Ktoś kto potem zebrał z krokiewskiej polany pustą butelkę ma dziś auto.



Coś kupić, coś sprzedać?



Parkina pod Krokwią

DEPESZA z DZIAŁOSZYNA

Dokończenie
ze str. 1

czątkach nie ma się zielonego pojęcia? — powiedział mi jeden z inżynierów.

Rzeczywiście. Jak by tu zrekonstruować owe początki? Jak do nich dotrzeć poprzez te wszystkie żelbetonowe konstrukcje budynków przemysłowych? Stuktarowy obszar zryty, przeorany, wytyczony placami, obudowany rusztowaniami, stalowymi dźwigami, siecią przewodów elektrycznych i całym szeregiem jakichś olbrzymów, gigantycznych budowli. Urządzeń, które laika przypominają o nieklamane zdumienie i równocześnie podziw dla techniki, cywilizacji, a przede wszystkim dla ludzi — w waciakach i wysokich, gumowych butach, wśród których nie odróżnisz inżyniera od zwykłego robotnika; uwiązanych się wszędzie, w zestawieniu z wysokością niektórych obiektów — ludzi karzełków.

3. REPORTAŻ O PROBLEMACH BUDOWY?

— Powiedział inżynier Zalewski „No w takim razie trzeba nam pochodzić po budowie”.

Oto kotłownia centralna. — Basen szlamu. — Młyn węglowy. — Bocznica kolejowa. — Ośmiu silosów. — Piec szamotowy. — Budynki awaryjne. — Trzypiętrowy biurowiec. — Fundamenty pod cztery obrotowe piece, (wykonane w 60 proc. wykonanie w 70 proc. na ukończeniu, skończone, na ukończeniu). — Przez rok wybudowano zaplecze, obecnie kończy się pierwsze obiekty technologiczne, w II kwartale 1963 roku nastąpi montaż i próbną rozruch pieców. Początki? Kto tu mówi o początkach? Były dawno, 19 miesięcy wstecz, a zaczynało się przy lampach naftowych.

Odległy, lecz już nie mordobiński powiat pajęczański przeżywa swój wielki tydzień. Niedziela coraz bliżej.

Wciśnięty w sam kraniec województwa łódzkiego, dotąd zacofany i typowo rolniczy, ulega wszechstronnemu przeobrażeniu: gospodarczym, społecznym, kulturalnym. W tabeli statystycznej pt. Stopa życiowa mieszkańców województwa, wspiął się z ostatniego miejsca o kilka punktów wyżej. Należy zdać sprawę, że taki skok, to dużo, dużo więcej niż zwykłe przesunięcie o centy metr na wykresie statystycznym. Koszt kalkuluje się w milionach, ostateczny dojdzie granicy miliarda złotych — tyle bowiem będzie kosztować Cementownia w Działoszynie. Na razie — ponieważ dalsze plany uwzględnią budowę następnych inwestycji przemysłowych: Zakładów Białego Cementu (z przeznaczeniem towaru na eksport), Zakładów Eterniutu i Kredy. Złoża naturalne tutaj bogate, wartościowe, obliczone na długofalową eksploatację. Wszystko w miejsce jednej kładówki i dwóch cegielni. Linia Działoszyn—Pajęczno stanie się wielkim zagłębiem przemysłowym. Jeszcze jedna Polska B, skończy cichy, a głośny żywioł.

Cementownia w Działoszynie jest pierwszą w Polsce, której koszt, pomimo, że wyrażony w miliardach, jednocześnie jest najniższym. Wyposażona zostanie całkowicie w rodzime urządzenia, przez co nie straci się cennych dewiz. Głównym dostawcą maszyn jest ZBM w Bydgoszczy. Produkcję roczną dla cementowni oblicza się na milion ton, co się równa jednej szóstej ogólnokrajowej produkcji cementu, (dla uwypuklenia: cyfra przedwojenna — w 1938 roku całość produkcji cementu w Polsce wynosiła 2,7 mln. ton).

Rozruch pieców zaplanowano na 1963 rok. Wnosząc z tempa prac i zgodnie z opinią speców budowy, nastąpi on znacznie szybciej. Jednak dla okolicznej ludności rozruch

już się zaczął i trwa od wiosny 1960 roku. Nadwarciański, jednostajny, raczej smutny pejzaż przecięły stalowe konstrukcje budowy. Można by tu, okolicznościowo, uronić leżkę nad losem matki — przyrody, którą człowiek wyburza. Można by, ale czy warto? Myślę, że ich miejsce zajmuje z powodzeniem romantyzm zgola inny, mniej ekliwy, a bardziej stanowczy i pożyteczny. Landshaft z karłowatą sosną i smętnymi ugorami zastępuje pejzaż, który urobiony pracą człowieka, będzie służyć człowiekowi. Ten działoszynski kombinat zatrudni półtora tysiąca ludzi. Wiek-

belszczyzny, częstochowskiego. Dużo z nich jest wygami od cementu po doświadczeniach na bliźniaczych budowlach Wierzbicy, Odry, Rejowca. Niektórzy postanowili osiąść w Działoszynie, dostali mieszkania, sprowadzili rodziny, zagospodarowali się. Spora część wyjechała po zakończeniu budowy, gdy obsługa cementowni obejmie tylko 900 osób. Kierownictwo budowy zakłada — i słusznie — że prawo pierwszeństwa posiadają miejscowi. Do tej pory około 300 uzyskało kwalifikacje — „przyczyniło się fachu”. Szkolenia przyzakładowe trwają w dalszym cią-

Miasto (mój Boże nie uwielbiam, to również nazwa przyszłościowa) a więc miasto Działoszyn dostraja się do ogólnego pejzażu, przechodzi kurs kosmetyki w trybie skróconym. Na pierwszy ogień poszły dystrybucja i sklepy: wyżywić półtoratysięczną armię — niebagatelne zadanie, zwążywszy na istnienie paru marnych spółdzielni. Zaczęto prace kanalizacyjne, powstanie sieć usług socjalnych — jak szkoła zawodowa, żłobek, przedszkole, kawiarnia, ośrodek campingowo-sportowy z przystanią kajakową nad Wartą (koszt budowy wynosi ponad 600 tysięcy!), a przede wszystkim nowoczesne, rozległe Osiedle Mieszaniowe na 400 rodzin (oddano trzy gotowe bloki na 19 rodzin). To osiedle stało się na przeciąg blisko roku kością niezgody pomiędzy działoszynską Radą Narodową, a pajęczańską. Pajęczno — wiadomo, powiat z autorytetem — i z racji owego letalnego prestiżu pragnęło mieć osiedle u siebie. Działoszyn z racji budowy — u siebie, nato miast architektki nie mogli zatwierdzić planów, zaś u świadomieni powiadają na

4. A NA POCZĄTKU

Straszili się między sobą. Ziemię zabiorą. Lasy wytęnią — święta Panno Częstochowska ratuj od wszelkiego zła. Diabeł w praktyce okazał się mniej strasznym jak go malowano. W trakcie wywłaszczenia — nie wynikała ani jedna sprawa sporna na ponad 600 wywłaszczanych. W okolicy Działoszyna przeżył się tradycyjny wzór Ślimaka na placówce.

Jedyna próba oporu i to „niezorganizowanego” miała humorystyczny przebieg. Właścicielka niktę nieruchomości nie zgadzała się na rozbiórkę. Obudowano jej „chudobę” barakami, czekając, że może z czasem pozwoli się nakłonić do polubownego rozrachunku. Nie spodziewanie roli arbitra podjął się — piorun, który trafił w sam środek domostwa. — „Dopust boży” — orzekła kobieta. Kierownictwo budowy ofiarowało kobiecie pomoc, zatrudniając ją w charakterze sprzątaczkę i przydzielając mieszkanie.

„A co do lasów to u nas każde drzewko na wagę złota. Wycieliśmy wyłącznie tam, gdzie konieczne, a tam gdzie możemy, zasadzamy nowe” — oświadczył inż. Zalewski.

Przed borem, też obok wysypisk i rozkopów, pleczolowicie obwiane sadzonki drzew. Toteż, miłośnicy łona natury nie rwiecie włosów z głowy. Chociaż „dziewiczy spokój” nadwarciańskich lasów zakłócają potężne detonacje z kamieniołomów (już na głębokości 12 metrów), samym lasom zagłada nie grozi. Zapraszają was na letnie weekendy i na porcję lodów czy małą czarną, którą każecie sobie podać na tarasie w parometrowej odległości od malowniczego brzegu rzeki i pod autentycznymi, nienaruszonymi sosnami. Na tarasie zetemesowskiego Domu Kultury, pospolicie zwanego tu „świetlicą”, która prezentuje się jak dom wypoczynkowy wziętego uzdrowiska.

5. PIERWSZE SŁOWO O ZMS

ZMS figuruje również zaraz przy wejściu na budowę na dumnym transparentie głoszącym, że budowa jest młodzieżowa, zetemesowska i pod opieką wojewódzkiego ZMS. Ze względu na wiek pracujących — budowa, owszem, daje się zaliczyć do młodzieżowych. Ze względu na przynależność organizacyjną jest budową „partyjną” (PZPR — ponad 200



Tak wyglądało kiedyś miejsce, na którym stanął Działoszynski Kombinat

z osób z nich jest mieszkańcami okolicy, dla których praca w cementowni oznacza stabilizację materialną, nowe perspektywy, ambicje, realne plany, projekty.

Część zatrudnionych przyjechała z różnych dzielnic Polski — kielecczyzny, lu-

gu, zaś w Działoszynie zorganizuje się Szkołę Zawodową, przygotowującą pełno wykwalifikowane kadry. Nie zapominajmy, że lokalizacja przemysłu na linii Działoszyna nie jest kwestią przypadku, lecz długoplanowej polityki gospodarczej.

ucho, że w ogóle należało budować gdzie indziej: w pobliżu stacji kolejowej. Zaskakujący spór wygrał Działoszyn, ale... budowa osiedla automatycznie się opóźniła. Stąd wynika moral, że gdzie dwóch się kłóci, tam trzech — wcale nie korzysta.



TADEUSZ PAPIER



MAGDALENA

STRESZCZENIE

Siedemnastoletnia dziewczyna, Magda, dostaje się w krąg wpływów grupy „złotej młodzieży”, w której „królują” Boruta i Dług. Magda zakochuje się w Borucie i pod jego wpływem opuszcza dom rodzinny. Następuje pierwsze „występy” Magdy: kradzież kolorowych matki, udział w kradzieży kuponów wlotnych...

Więc chodźłam po ulicy Piotrkowskiej i po upływie godziny przyszedł do kawiarni. Zastawał ich przy kawie. Stawiał Czesiek „Owsem” — powiedziałam na

pytające spojrzenie Boruty — „Ten osobnik godzi się kupić kupony, ale musi je obejrzeć”. Czulałam, że Boruta był zadowolony z mojej odpowiedzi. „Nie innego, tylko musisz lecieć do domu po materiał” — powiedział do Czeska. „Poślawcie co” — zwróciłam się do chłopaków. Więc Czesiek zamówił tym razem butelkę owocowego i opuszcili nas. Czesiek mieszkał niedaleko, na Zachodniej. Pomyślałam sobie interes idzie dobrze, ten Boruta ma głowę na karku. Niech tylko welna dostanie się w nasze ręce. Nie, nie myślałam, że to kradzież. Proszę pana! Teraz to i ja inaczej patrzę. Więc Czesiek przyniósł kupony: jedna welna, setka, meska, a druga na suknię. Pierwszorzędny ma-

teriał. Wycenił mi go na sześć tysięcy pięćset. Czesiek chciał sześć tysięcy, ale Boruta powiedział: „Nie lubię okrągłych rachunków” i dodał tę pięćsetkę. Kazał mi odnieść welnę do rzekomego kupca. Oczywiście, nie poszłam do żadnego handlarza, zanośłam materiał do Marioli. Po pewnym czasie przyszedł znowu do kawiarni i powiedziałam, że wiadomy facet przyniósł towar i pieniądze przyniósł o trzeciej po południu. Umówiliśmy się na tę godzinę.

Kto to jest Mariola? Proszę pana! Mariola to fajna dziewczyna. Nigdy jeszcze mnie nie zawiodła. Znałam ją ze szkoły. Rozstałyśmy się w siódmej klasie. Mariola nie chciała się uczyć. Mówiła, że

nauka jej nic nie da. Przed dwoma laty milicja ją nacięła, żeby zdradziła nazwisko gościa, u którego nocowała, nie puściła nawet pary z ust. A mogła narobić facetowi bigosu, bo jeszcze nie miała piętnastu lat. Poszłam więc z Borutą do Marioli, zabraliśmy towar i pojechaliśmy na Górniaka. Boruta sprzedał jaktemuś facetowi za trzy i pół tysiąca. Stracił? Nie stracił, przecież welnę do stał za darmo. A tamten kupiec? A co mnie on obchodził? Kupiec i tyle. Pan przewiesił palto przez ramię, wyjdzie na rynek, to zaraz kupcy się zlecą. Boruta odpalił Marioli pięćsetkę, a potem pojechał ze mną do Kopciuszka. Wypiliśmy dwa wina. Zarumieniłam się po tym winie, a może więcej z przejęcia i Boruta powiedział, że byłam „naprawdę śliczna”. Widziałam, że wszyscy się na mnie oglądali. „Magda” — powiedział do mnie w pewnej chwili Boruta — „pójdźmy teraz do Savoyu. Znam jednego kelnera, przygotowuje nam fajny wieczór”. „Niech będzie” — odpowiedziałam — „tylko żeby Czesiek nas nie spotkał”. „Nie” — odpalił Boruta — „on tam nie chodzi. A wreszcie i tak musimy z Łodzi przysnąć, wrócimy, jak Czesiek się uspokoi, więc warto jeszcze się zabawić”. Poszliśmy do Savoyu, zamó-

wiliśmy fajne dania, rumsztyki, pół wyborowej, piwko. Boruta pił, mocną ma głowę, nie mu nie szkodziło, resztą nie żalowałam sobie żarć. Raz człowiek żyje. „Szkoda, że tu nie ma Długiego” — powiedziałam. „Nie wyjeżdżaj mi z tym filmowcem” — rzekł ostro Boruta. „Co on ci szkodzi?” — zapytałam. „Szkodzi” — odpalił. Scisnął mi rękę, aż zbliłam. W oczach pokazały mi się łzy. „Magda” — rzekł do mnie Boruta, ale ręki jeszcze nie zwolnił. — „Po co się kłócisz, pożyczmy trochę”. Poprosił mnie do tanga, bo właśnie zaczęli grać. Kazał mi się objąć za szyję i tak tańczyliśmy. Nie pamiętałam takiej szczęśliwej chwili, jak w czasie tego tańca. Nie rozumiałam tylko, dlaczego Boruta złożył się na mnie za Długiego. Myślałam, że jest zazdrosny. I było mi tym przyjemniej. Dopiero potem zorientowałam się, jakie są między nimi stosunki.

Tańczyliśmy jeszcze ze dwa razy. Jakś stary robotnik mnie oko, ale odepchnął się, jak go Boruta otaksował po swojemu. Ja tak z przyzwyczajenia przenosiłam oczy z jednego gościa na drugiego. Zaczęło to w końcu Borutę drażnić, krzyknął do mnie (po raz pierwszy tak ostro, ale wzięłam to na karb pijaństwa): „Oczkuj, ale wte-

dy jak ja ci każe, jak się nie uspokoisz, to ci takiego pikasa zrobię na twarzy, że w tydzień się nie pozbierasz”. Gdybym wtedy wiedziała, że już niedługo spełni swoją obietnicę! Natychmiast zwróciłam całą uwagę na niego, oczy mu się zrobiły inne, zapłcił kelnerowi coś około dwustu złotych i wyszliśmy. Potem żalowałam, że opuścił mi lokal. Mogłiśmy się tam bawić do rana. Nikt by nas nie znalazł.

Ale i tak mieliśmy szczęście, bośmy na Piotrynie spotkali Mariolę. „Uciekajcie” — powiedziała Mariola. „Czesiek z Długim szukają was po całej Łodzi. Jeżeli masz jaką forszę, to daj mi”. „Dobrze” — rzekł Boruta — „masz, później do ciebie przyjdziemy”. Wróciliśmy na nasze nie szczęście do Kopciuszka, zaledwie usiedliśmy przy stoliku, weszli chłopaki, Czesiek, Długi i Narecy. „Uważaj” — szepnął do mnie Boruta — „dajemy nogę”. Początkowo nas nie zauważyli, ale Długi w ostatniej chwili zobaczył mój czerwony kapelusz i krzyknął: „Czesiek są, łapiemy ich”. Boruta pociągnął mnie za sobą i w ostatniej chwili wskoczyliśmy do tramwaju. Przy Więckowskiego wysiedliśmy, i pan nie wierzy, wpadliśmy wprost na chłopaków, już na nas czekali. Wzięli taksówkę, cały czas

członków, ZMS — około 200, łącznie 400).

Powstał tu ZMS Hufiec Pracy. Szumnie miał liczyć 400 osób, nigdy nie osiągnął 200. Pościągano doń ludzi z przypadku. „Elementy” — określili tolerancyjnie dyrektor Zydek: „Z przeszłością” i „przyszłością”. Burdy i awantury, budowa „zawdzięcza” hufcowi. Głośna sprawa kryminalna, której finał rozegrał się na wakacjach sądowej (gwalt) także dzieło członków hufca. Trzeba było stracić wiele z cennego czasu i energii, zanim Hufiec stał się socjalistycznym, zetemmesowskim. Po selekcji zostało 70 osób (przebywają na prawach Zasadniczej Szkoły Rzemiosł, zakwaterowani w pięknym, historycznym zamku Działoszyna).

W Działoszynie skarżą się: — „Do pracy kulturalnej przysłano nam co najmniej dziwnych towarzyszy. Bardzo żywo interesowali się wódką, „dziejewczkami”, więc należało ich czym prędzej odesłać. Od dwóch tygodni mamy nowego „kaowca”. Zdaje się, że tym razem dopisało nam przysłowowe szczęście. Ten człowiek dwój się i troj, bo pracy jest co niemiarą.

A dalej, biblioteka przyzakładowa o wiele niewysatracająca, księgozbiór liczy zaledwie 500 woluminów. Ponadto zupełnie brakuje w nim literatury dziecięcej i młodzieżowej, a przecież dużo pracowników ma rodziny z pociechami. I Zakładowy Domu Kultury — ładny „bo ładny” — ale dlaczego na imprezy przeznaczono tylko jedną salę? Co prawda wielką jak hala fabryczna, z obszerną sceną, lecz jedną na wszystko — na próby zespołów, występy, kino, czytelnie, kawiarnię. Jest już Zespół Taneczny, a chcą zorganizować Zespół Chórny i Muzyczny, tylko, że konieczny do tego będzie fachowy instruktor. Prosimy, napiszcie, może przez „Odgłosy” ktoś zgłosi się do nas — dajemy etat, zakwaterowanie, no bo wiecie, jeden „kaowiec” na wszystko się nie rozzerwie.”

Podobno nie popisała się w Działoszynie Estrada Łódzka, najwyraźniej lekceważąc działaszan w czasie dawane go przedstawienia „Chaty za wsią”. Przytaczam też uwagę marginesowo, podsuwając propozycję: może by tak od czasu do czasu wysyłać zespoły rozrywkowe na budowę do Działoszyna?

Były dawno (wiosna, 1960 roku). Stop. Przewidywany planem FINAL — niedaleki (1964 r.) Stop. ROZRUCH? Ten w pełnym TOKU. Stop. GRATULUJEMY.

EWA OSTROWSKA

Fot. W. Kraska

JAN HUSZCZA

TAJEMNICA

Nie jeden obywatel polski gotów byłby postawić kieliszek likieru i kawę osobie, która w sposób dostatecznie wiarygodny wyjaśniłaby, dlaczego w Warszawie okazuje się od wielu lat miesięcznik „Kaloryfer”, ilustrowane pismo poświęcone propagandzie centralnego ogrzewania, do którego nikogo nie trzeba przekonywać.

„Kaloryfer” widuje się czasem w kioskach, nikt natomiast nie widział w rękach ludzi czytających. Jeżdżą niekiedy autobusami i pociągami, bywam w różnych zakątkach naszej malowniczej ojczyzny, pasażerowie dla zabicia czasu w podróży wożą ze sobą różne pisma, nawet takie jak „Superfiofiof” i „Ape!”, ale nigdy nie zdarzyło mi się, abym ujrzał w czyichkolwiek rękach „Kaloryfer”.

Z kolei mieszkańcy niektórych miast wojewódzkich nie raz pytają siebie nawzajem, co oznacza istnienie takich biur i instytucji, jak na przykład: „Wzorcownia nr 8”, „Instytut Plepleistyk Zwyyczajnej”, „Państwowa Wypożyczalnia Teleskopów”, „Zjednoczenie Spółdzielni „Trąbka”, „Samodzielny Ośrodek Intensyfikacji”.

Pytają o to ci wścibscy mieszkańcy z tego powodu, iż nie konkretnego nie słychać o działalności tych placówek, nikt tam nigdy nie bywa, choć zawsze stoją przed nimi dwa albo trzy służbowe samochody, a gońcy z torbami, pełnymi korespondencji i formularzy, co kilka kwadransów znikają za masywnymi drzwiami.

Ala ja od pewnego czasu wiem, o co chodzi i dlatego postanowiłem zabrać głos, licząc na ów kieliszek zielonego likieru z kawą... Niemal we wszystkich tych wypadkach chodzi o niejakiego Dezyderiusza Cackiewicza! „Kto zacyt ten Dezyderiusz Cackiewicz?” — gotowi jesteście niecierpliwie wołać i już widzę na waszych niebieskich rumieńcach podniecenia, jakie pojawiają się zawsze, gdy jesteśmy bliżej rozwiązania jakiegoś od dawna trapiącej zagadki.

Dezyderiusz Cackiewicz, człowiek może czterdziestoduśletni, zawsze nienagannie ubrany, jest osobą od lat predysponowaną do tego, żeby zajmować kierownicze stano-

wiska. Oczywiście, w tej chwili już nawet Sherlock Holmes nie odgadnie, kto go do tego predysponował? Wiadomo tylko, iż bezpośrednio po wojnie widywano Cackiewicza w oficerskich spodniach, a pistolet maszynowy zaważadł do dyndal u jego boku. Już wtedy Cackiewicz był osobą, która zagajała niekiedy zebrania i wiecie, już wtedy Cackiewicz był zapraszany na bankiety o wojewódzkim znaczeniu, a raz nawet — podobno legitymując się przypadkowo znalezionym zaproszeniem — stał na trybunie, przed którą defilowali przodownicy akcji deratyzacyjnej.

Innym razem, kiedy rozentuzjuszowany Dezyderiusz znalazł się w gabinecie pewnego dyrektora departamentu, to odbył się tam taki dialog:

— Jakże się cieszę, towarzyszu dyrektorze, że znowu się spotykamy.
— Ja także bardzo się cie-



szę! — odpisał zaskoczony dyrektor czy może nawet wiceminister, choć w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy widywał się przedtem z Cackiewiczem? Ale wiceministrowi, jako działaczowi zawsze dbającemu o rozlegnięte kontakty z ludźmi, nie wypadało zapytać wprost: „A skąd mi się namię? Z sanacyjnego więzienia czy może spod Lenina?”

Po tym przelotnym spotkaniu Cackiewicz przed różnymi dyrektorami i naczelnikami często, nazbyt nawet często, powoływał się na „lata walki”, których był uczestnikiem wspólnie z owym wiceministrem, a może nawet już ministrem.

Wśród dyrektorów i naczelników był także ludzie, którzy skwapliwie, nie szczędząc wysiłków i pomysłów, zabiegali o bohaterskie

momenty w swoich biografiach. Chętnie więc przyjmowali Cackiewicza w zacisznych, wyściełanych puszystymi dywanami gabinetach, aby następnie mówić do kolegów:

— To wyjątkowo dzielny towarzysz! Niejednej polityczki politycznej w przeszłości byliśmy z nim uczestnikami! Nie więc dziwnego, że przed laty — gdy Cackiewicz zaproponował odnośnym czynnikom, iż założą i poprowadzą miesięcznik „Kaloryfer” — inicjatywie przykładał się, a nawet z naciskiem kilkakrotnie podkreślono, że dopiero ten miesięcznik wypełnił dołki lukę. Zeby zaś naprawdę udowodnić swoje zainteresowanie tym piśmem, niektóre czynniki wspaniałomyślnie odkomenderowały Cackiewiczowi do pomocy swoje wielce sympatyczne żony.

Jednak po uływie roku Cackiewicz komuś nie podobał się jako redaktor. Może nie uwzględnił czyjeś żony, a może z innych powodów. Faktem jedynie, jest, iż nie gubiono się w szczegółach i nie zastanawiano się nad celowością istnienia miesięcznika, mówiono tylko o potrzebie reorganizacji, czyli właśnie o konieczności splawienia Dezyderiusza. Powstał tyłko problem, zupełnie rzeczowo sformułowany w takiej podobno rozmowie:

— Wszystko to pięknie, ale co zrobimy z Cackiewiczem?
— Zastużony towarzysz.
— Właśnie! Na redaktora nie nadaje się, bo to uroczyście deklaruje, że nie można go lekko myśleć marnować!
— Lub odstawić na boczny tor...

— To jasne!
Wtedy powołano do życia w jednym z wojewódzkich miast „Wzorcownię nr 8”, pozostawiając Cackiewiczowi ustalenie treści i zakresu jej działalności.

Dezyderiusz marszczył się, jakby dano mu do zjedzenia grubszą plasterkę cytryny bez cukru, sarkał na to, że pozabawia się ukochaną stołeczką jego osoby, ale mądrze mu wytłumaczono, że „Wzorcownia nr 8” to właściwie eksperyment i odpowiedzialny przy tym odcinek, więc komuż innemu można byłoby go powierzyć?

Cackiewicz głęboko westchnął, nawet nie jeden raz, wkońcu zaś zrozumiał i uświadomił sobie doniosłe znaczenie nominacji.

Po upływie pewnego czasu Cackiewicz nie podobał się komuś i na tym stanowisku. Czy słusznie, trudno, co o tym powiedzieć. Może znowu chodziło o to, że nieostrożnie pomógł czyjąś żonę czy też czyjąś kuzyną? W każdym bądź razie faktem jest, iż w tym wypadku nie gubiono się w szczegółach i nie zastanawiano się nad celowością istnienia

JAN BOLESŁAW OZÓG

ZA MIASTEM

Próg korzenia. A na progu pniak.
Na kolezastym drucie głogu ptak.

Nuta kole z tamtej strony jak zamazła igła.
Ciernie, gwoździe i bemoł czerwony szczygła.

Z cierni głogu trzy jagody krwili.
Na strumyku szpilki lodu, śnieg się szklili.

Idą poprzez potok dziki pani pawie.
I roraty szczygiel śpiewa o zielonej trawie.

ZIELONE OCZY

Pani włosy znów na karku fisharmonii,
palce pani na kościanej klawiaturze,
nuty czarne — białe walce jak dwie róże,
ale w porę, aby plakać za zawieją.

A śnieg w szyby spada w białych grzywach koni,
miększych od bzu, cięższych od płóz chłopskich sani,
i nie ploszą się przed skrzydłem ręki pani
i od oczu pani z lekka zielenieją.

Połem tylko białe pole pozostanie
i za oknem na galeziach włosien biały,
poprzez które siwe konie przeleciały
i w zamarym tonie cicho stawie.

O lagodo, o spokojne ucichanie,
zorro nieba cytrynowozielonista,
i miłości, ale biała, cicha, czysta,
ach, i oczy jak zielone w śniegu pawie!

„Wzorcowni nr 8”, mówiono jedynie — i to aż na dwóch konferencjach — o potrzebie reorganizacji czyli o konieczności pozbycia się Cackiewicza.

I olo właściwie przy rodowodzie następnych, znanych wszystkim placówek: „Instytutu Plepleistyk Zwyyczajnej”, „Państwowej Wypożyczalni Teleskopów”, „Zjednoczenia Spółdzielni „Trąbka” i „Samodzielnego Ośrodka Intensyfikacji”.

Dopiero przed rokiem ktoś — chyba bardzo odważny i jednocześnie złośliwy — rozpoczął starania o zlikwidowanie ostatnio przez Cackiewicza prowadzonego „Samodzielnego Ośrodka Intensyfikacji”.

Aż wreszcie „Samodzielny Ośrodek Intensyfikacji” rzeczywiście zlikwidowano, a przy okazji wcale bezceremonialnie postąpiono z samym Cackiewiczem. Powiedziano mu niemal bez ogródek:

— Nie mamy dla was, towarzyszu, przynajmniej na razie, żadnego kierowniczego stanowiska! Otrzymacie trzymiesięczne wymowienie, bilet kolejowy na powrót do rodzinnych stron i szukajcie tam dla siebie pracy!

Zeby tę obecność w postępowaniu jakoś zmieścić, któryś z wiernych przyjaciół Dezyderiusza wskórał jedynie tyle, iż na pożegnanie dano strudzonemu działaczowi jakieś odznaczenie i uroczyste podziękowano mu za dotychczasowe wysiłki, na zakończenie nie prosząc pianiste, aby uświetnił tę okoliczność odegraniem kilku utworów Szopena.

Po tych wydarzeniach Dezyderiusz Cackiewicz wyładował w pewnym mieście — aż przykro o tym mówić — jako zastępca naczelnika wydziału kultury.

Liłość bierze i szopenowskie nokturny dźwięczą w uszach, gdy się teraz patrzy na Cackiewicza. Nic z tego, co jest specyfikacją osoby Dezyderiusza, nie pasuje do tej jakże niefortunnej sytuacji! Ani rozsądzający wzorzystą kamizelkę brzuszek, ani energiczny i władczy gest, ani metaliczny, nadający się do mówienia w trybie rozkazującym, donośny głos, ani nawet uroczą nieznajomość takich imion i nazwisk, jak Leon Schiller, Curie-Skłodowska, Maria Dąbrowska, ks. Józef Poniatowski, Mieszko I i Dąbrowka!

To jest jednak ważne i pocieszające, że Dezyderiusz nie załamał się. Nawet na tym stanowisku nie wyzył się cech, istotnych dla jego osobowości. Trochę je tylko jakby stuszał, swój zaś pobyt w wydziale liczy na tygodnie, w chwilach zaś szczególnej depresji — może na miesiące...

Jeśli któregoś dnia zostanie powołany do życia — w kraju lub za granicą — jakaś placówka choćby pod skromną nazwą „Wigza” albo „Polska tuleja” to jesteśmy przekonani, iż nie stanie się to bez cennej inicjatywy Dezyderiusza Cackiewicza.

A teraz zostało nam tylko upomnieć się o zielony likier i kawę.

odgłosu str 7

jechał za tramwajem. Pojeżdżać Boruta by się z nimi rozprawił, ale trzech ich było, na niego nawet nie zwracali uwagi. Długi i Narcyz trzymali go za ręce, a Czesiek gorączkowo szukał po kieszeniach. „Oddaj forsz, dra niu”, mówił „oddaj forsz, bo marmolada z ciebie”. „Jak Boga kocham nie mam”. „Gdzieś ja podział? Sześć tysięcy złotych, myślisz, że ci daruję?” „Sześć tysięcy pięćset” — poprawiam go i zapalałam papierosa. Nie wiem, skąd mi się wziął ten spokój. Ton, w jakim odezwalał się, zaskoczył wszystkich. Boruta wywrwał się z rąk Narcyza i dygnął. „Cóż ty myślisz?” — powiedział do Czeska — „potrzebuję twoich pieniędzy?” „Uciekaliście przed nami” — mówił Czesiek. „Szukaliśmy was, a nie uciekali” — odpalił Boruta. „Pieniądze będą jutro” — rzekł do Długiego i Czeska — „ten gość nie miał dzisiaj i powiedział, że jutro da nam jedenaście. Przyjdź do Kopciuszka i swoje otrzymasz”.

Rozstaliśmy się z nimi niby w spokoju. Czesiek uczepił się tej obietnicy i wiedziałam, że chce w nią uwierzyć. Ale Długi cały czas patrzył na mnie. Zdjął okulary i dopiero teraz spostrzegłam, że miał małe oczy, prawie schowane w powiekach

i dlatego zakrywał je szklami. Rzeczywiście, w ciemnych szklach wyglądał przystojnie. Nawet był podobny do Cybulskiego. Ale gdy tylko je zdjął, nie można było na niego patrzeć. Nie wiem, co dziewczęta w nim widziały? Oczywiście te, które znały go bez okularów. Orientowałam się już, że Długi ma żonę, ale z nią nie żyje, może dlatego, że obchodzili go za bardzo inne kiecki. Szliśmy jakiś czas z Borutą w milczeniu. Myślałam w jaki sposób wybrnąć z tej sytuacji, do której się przyczyniłam. „Wiesz co?” — powiedziałam do Boruty — „dobrze będzie, jeżeli się teraz rozstaniemy. Oni na pewno nas śledzą. Kiedy zobaczę, że się rozchodzą w spokoju, nabiorą zafania. A jutro spotkamy się u Marioli”. Boruta pociągnął mnie do bramy. „Zgoda” — rzekł po chwili. Pożegnaliśmy się i poszłam do Marioli.

Pan się pyta, czy odczuwałam jakiś niepokój w tej chwili, jakieś strachy? Nie z tych rzeczy, proszę pana. Czego się miałam bać? Ale Mariola bardziej się przejęła tą hecą. „Ale awantura, nie ma co!” — powiedziała i zasmiała się gorzko. Musiałam mieć głupią twarz, bo zaraz dodała: „No, jakoś poradzimy sobie z tym. Pójdziemy do M. i tam przenocujemy. Nie wiesz, do czego zdol-

ny jest Długi. On gotów jest tu przyjść i cały dom przetrząsnąć za pieniądze!” „Ale co mielibyśmy zrobić?” — odparłam. „Powiedzieć mu prawdę? Przecież się do wszystkich?” „Nie ma frajerów. Ja już swoją pięćsetkę przepuściłam” — rzekła Mariola. Podejrzywałam, że kłamie, że w razie jakiegokolwiek wypadku zechce uratować chociaż swoją część. Nie miałam jej tego za złe, było mi wszystko jedno, ja i tak nie miałam przy sobie ani grosza. Wszystko zabrał Boruta. Po chwili poczułam, że Mariola obejmuje mnie za szyję. „No, nie martw się, damy sobie radę”. „To prawda” — przyznałam — „skoto załatwiliśmy welnę, załatwimy i resztę”.

No więc, poszliśmy do M. Tak, ten sam, którego Mariola nazywała Tatą. M. mieszkał na Południowej. Wie pan, nie powiem, miałam lekkiego pietra. Nie wiem dlaczego. Kamienica mi się nie podobała. Może dlatego? Nie lubię domów czarnych. Ma pan rację, wyglądała jak piętro trumny. Tak jest, to stary dom. Pan tak mówi, jak by pan tam był. Rzeczywiście, poobijane tyńki, ciężkie bramy na zawiasach, przez środek podwórza plynie ściek, w bramie śmierdząco jak w klozecie. Weszliśmy na trzecie piętro po drewnianych

schodach. Na każdym piętrze wisiała przykurzona żarówka. Zadzwoniliśmy do jednego z mieszkań, drzwi otworzył nam starszy jegomość. Tak, to był gospodarz. Był zalany. Wódka jechała od niego na miłe. Chwiał się na nogach. Objął Mariolę i pocałował ją. Chciał się do mnie zabrać, lecz uchyliłam się. Co to, to nie. Pierwszy lepszy nie będzie mnie całował. M. miał chyba ponad pięćdziesiątkę. Był średniego wzrostu i łysawy. Oczy miał wypukłe i zalazwione. Ale to chyba od wódki. Mieszkał sam, nie miał żony ani dzieci. Mariola opowiadała o nim, że był kiedyś znaczną szyszką, przed wojną uczył w szkole, lecz wojna zlamala jego karierę. Pan lepiej wie ode mnie, jak to było. M. był wziętym przez Niemców, biłty, po wojnie leczył się w Kołanówku. Otrzymał potem pracę w jednej z łódzkich fabryk, był tam księgowym. Tak, zarabiał dobrze, ale wszystko przepijał. Znało go dużo osób z ulicy. Pożytywał nawet prostytutkom i nigdy nie ulegał się o zwrot pieniędzy. Kręcił pan głowa? Przyjęgam, że tak było. Były takie, które mu oddawały. Mówiły na niego „Tato”.

Mariolę traktował jak kogoś z rodziny. Mogła przyjść do niego o każdej porze dnia i nocy. Zostawiał jej klucz

w umówionym miejscu. Nie, proszę pana, niech pan nie złoże na me myśli. Całował ją, ale nie poza tym. Przysięgam. Powiedziałam już, że bardzo się ucieszył naszą wizytą. „Tato” dał nam po kropelce — powiedział. Zakrzętnął się koło czarnego kredensu i wydobyl stamtąd pół litra wyborowej. „No, dziewczynki, na zdrowie Tato”. „Ha — powiedział — myślicie, że Tato głupi, że Tato nie wie. Tato wie, dlaczego przysyślecie. Tato mała — wskazał na mnie — ma coś na sumieniu. Znam się na tym. Pij, mato, to nam tylko zostało”. Powiedział: „Pij mato”, ale nalał tylko sobie. Znowu wychylił kolejną i usiadł na krześle. „Nie sięjka pijak, acz pije dni kilka, wszak i od mięsa nie boli nie wilka” — zadeklamował nagle. Nie powiem, głos miał przyjemny i umiał deklamować. Znam się coś na tym. Mariola zrobiła do mnie oko i usiadła mu na kolanach. „Mów, papciu” — powiedziała. „Tato zaczął natychmiast mówić wierszem i bił się w piersi. Powiem panu, myślałam, że to przebrany ksiądz, bo tak płótł jak na kazaniu, powiedział kilka razy nazwisko jakiegoś króla Kandalauśza, to znowu na Mariolę mówił Judyta, albo Judyta. Bardzo nas to śmieszyło. „Wiedzie, o czym mówię dziewczynki?”

d. c. n.

Dalszy ciąg
ze str. 1

Formy udręki:
a) prymitywne:
wywoływanie awantur trzy razy dziennie, potrącanie, po pychanie, wysypywanie maki do mleka, płucie na suszącą się białiznę, wyrzucanie mydła z wanny, wykręcanie pasy z tubki, wrzucanie zapalek do zupy.
b) skomplikowane:
wywoływanie awantur dwa razy dziennie, barwienie wody w czajniku specjalnym preparatem (tuszą, atrament itp), ukreślanie guzików od płaszczy, sypanie piasku do maszyn, (do szycia lub pisania), umiejętnie zakreślanie wody w momencie gdy sublokator kąpie się w łazience.
c) perfidne:
nocne stukanie w ścianę przez czternaście dni, nasyłanie znajomych urzędników, milicjantów i odpowiednia propaganda „Kwaśniewski był szpiclem”, „Karpińska to niezły numer, ho, ho”.

rzędniczy chyłkiem przebiegał z pokoju do pokoju. Goń ich zachłanne oczy groteskowych interesantów. Obraz ponury, przystający zresztą do sytuacji mieszkaniowej w naszym mieście. Obraz okrutny jak treść piśmiennictwa, które właśnie pewnego razu trzymała w swym ręku starsza kobieta o twarzy męczennicy z czasów Nerona.

„W związku ze złożoną skargą przez Marcelinę Karpińską... Prezydium DRN wyjaśnia, iż powołana na tej sprawie komisja po przeprowadzeniu wizji lokalnej stwierdza, iż lokal ten został przydzielony dwóm rodzinom przez zakład pracy i rodziny te wiedziały (podkr. K. B.) że będą musiały wspólnie korzystać z kuchni, łazienki i korytarza.

sankcji prawodawcy: jest przecież ping-pongowa w meczu między odpowiedzialnymi urzędnikami.

Oczywiście pani Karpińska poznała wszystkie formy udręki, jakie powyżej zarejestrowałem, plus komisja sanitarna, którą jej także milicjanci przetrzymali. Dość jeszcze należy, że w ciągu jedenasty nocy doprowadzono jej na kark trzynastu milicjantów. Jak oni tego dokonali pozostanie na zawsze tajemnicą współlokatorów i milicji.

Pani Marcelina jest u schyłku swego życia, u kresu swych sił i wytrzymałości. Prowadzi podwójną walkę: walkę o mieszkanie i walkę w mieszkaniu. Jedną znajduje swój wyraz w wydziałach lokalowych, drugą w kolegium orzekającym i w sądzie. Prze-

wilnych chodzą o eksmisję. („Sygn. II K.P. 1962/59 l. dz. 3882. W toku procesu zmarła matka pozwanej Heleny Karpińskiej — Marcelina Karpińska, przeto sąd na mocy art. 183 KPC zawiesił postępowanie w sprawie.”)

„Po wskazaniu spadkobierców zmarłej postępowanie w sprawie zostało podjęte. Wyrok w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

„Sąd zwołał świadków powołanych przez strony i ustalił...”

„mając powyższe na uwadze Sąd uznał roszczenia powoda za bezzasadne.”)

5.

Sąd tak, ale p. Kwaśniewski uznał wręcz coś odwrot-

zonych (może nawet bardzo uzasadnionych) uprawniało oskarżycielkę do obrażenia oskarżonych i obrucania ich wulgarnymi wyzwiskami.

Sąd a quo oparł się na zeznaniach samej oskarżycielki i jej krewnych (świadek Biesiada jest również jej krewnym), a zatem ludzi zainteresowanych w tym, by wyrok w niniejszej sprawie mógł być podstawą do wdrożenia przez oskarżycielkę eksmisji oskarżonych — a o to przecież tylko oskarżycielka chodzi!

Nie spostrzegł jednak Sąd a quo, że inni świadkowie i to bardziej bezstronni zeznali nieco inaczej. Nawet św. Mieczysław Kalman stwierdza, że gdyby nie przysłała Karpińska byłoby dobrze i że Kwaśniewscy są do-

6.

W ubiegłym roku Sąd Powiatowy w Łodzi rozpatrzył około pół tysiąca spraw tego typu. 124 sprawy dotyczyły obrażeń cielesnych. Na każde dziesięć kolegium orzekające przypada rocznie około stu spraw, co w sumie daje drugie pół tysiąca. 25 proc. ogółu spraw rozpatrywanych przez Sąd stanowią piskówki, których znaczna część została sprowokowana przez konflikty mieszkaniowe, sublokatorskie, sąsiedzkich itp. Jest to bardzo poważne utrapienie naszych sądów, marnowanie czasu i pieniędzy. Wydaje się, że w podobnych sprawach aktywniej i energiczniej powinny uczestniczyć komitety domowe i blokowe. Wspólne mieszkania są ko-

Gdy człowiek jest piłką ping-pongową

Kowalska
jest
stara K.

(„Sygn. — VI-Kp-782/59)

1. W miesiącu październiku 1959 r. w Łodzi, w miejscu mego zamieszkania obraziła moją godność osobistą nazywając mnie „przybłędą” to jest o czyn z art. 256 § 1 KK.

2. W miesiącu marcu 1960 roku w Łodzi w tymże samym miejscu jak w pkt. 1. używała słów powszechnie uznanych za obraźliwe, jak „ty przybłedo, ty cholero, ty włóczęga” tj. o czyn z art. 256 § 1 KK.

3. W dniach 3 lub 4 września 1960 roku w Łodzi w tymże samym miejscu naruszyła moją nieetykietę cielesną, popychając mnie ramieniem tj. o czyn z art. 239 KK.

4. W tymże samym miejscu i czasie jak w pkt. 3 obraziła moją godność osobistą słowami „włóczęga jedna, psia krewa, a wynos się stąd wariatko”.

5. W dniu 5 lub 7 września 1960 r. w tymże samym miejscu naruszyła moją nieetykietę cielesną popychając mnie tylną częścią ciała tj. o czyn z art. 239 § 1 KK.

3.

Wydział Lokalowy dzielnicowego Polesia przy ul. Zielonej. Strych przerobiony na urząd; drzwi do biura pozamykane na cztery spusty; po wąskich korytarzach snują się umęczeni i petenci. Tragiczni u-

Prezydium uważa, że o-baj użytkownicy winni uczciwie i po ludzku korzystać ze wspólnych pomieszczeń.

„W razie ponownego zaistnienia wypadku złośliwego dokuczania jednej ze stron — strona pokrzywdzona winna wystąpić do kolegium karno-administracyjnego, względnie do sądu o ukaranie”.

4.

Pani Marcelina Karpińska*) wiedziała bardzo dobrze, że będzie zmuszona korzystać w owym mieszkaniu ze wspólnej kuchni, wspólnego korytarza i łazienki. Ale pani Marcelina Karpińska od dwudziestu lat była bez mieszkania, poznała w szczególności i ogólnie sublokatorskie życie. Pani Marcelina Karpińska ma w tej chwili 60 lat i nosi z sobą fotografię domku, który w 1939 roku rozstrząsała niemiecka bomba. Obecnie pani Marcelina mieszka w jednym małym, ale własnym pokoiku z córką Heleną. Do drugiego pokoiku wprowadziła się małżeństwo z dwójkiem dzieci. Początkowo sytuacja kształtowała się dość przyjemnie, ale po pewnym czasie współżycie stało się snem... tyle że koszmarem. Sen trwa już czwarty rok. Pani Karpińska była w tym czasie wszystkim, czym tylko można być w nomenklaturze naszego prawodawstwa, a więc stroną, powódką, pozwaną, oskarżoną i oskarżycielką. Ale ponadto jest jeszcze czymś, co nie uzyskało

ciwnik pan Kwaśniewski jest bowiem człowiekiem pełnym uporu i orzekł, iż jeśli nie pomogło concenne stukanie w ścianę w odstępie pięciominutowym (notabene wykorzystał w tym celu swój urlop) i nie pomogło także nasyłanie milicji, pomoże święta biurokracja. Złożył więc podanie o przydział mieszkania do wydziału spraw lokalowych DRN. Po odmowie skierował sprawę do Wydziału Spraw Lokalowych przy Prezydium RN m. Łodzi. Zalatwiony po raz drugi odmownie odwołał się do Kolegium Spraw Lokalowych, a stamtąd do Ministerstwa Gospodarki Komu-

Lakirynada, mała
wydra, zima,
drzewa, wódz
Jokos, dźwięk...

nalnej. Oczywiście cały ten żmudny cykl powtarzał trzykrotnie. Nie chodziło tutaj wcale o pozytywny wynik, lecz w ten sposób trzymał nad głowami swych ofiar miecz Damoklesa, zmuszał do niepokojów, zastraszał w ciągu wyjaśnień. Pani Marcelina otrzymywała tygodniowo około 10 piśmiennych wezwań. Dwa razy zmuszona była udać się nawet do Warszawy. Jednocześnie obok tego nurtu wojny psychologicznej istniał nurt drugi, wojny moralnej, która rozstrzygała się w sądzie powiatowym, w wydziałach karnych i cywilnych. W cy-

nego. Siły jego armii wzrosły obecnie jak 1:4. Śmierć p. Karpińskiej to połowa zwycięstwa, gdyż 50 proc. przeciwników zostało wytrzebionych. A ponieważ nie zginęli oni w bezpośrednim starciu, lecz zmarli śmiercią naturalną, więc skrupułów nie trzeba zachowywać, ani nawet pozorów skrupułów.

W tydzień po śmierci matki jej córka zauważyła, że część ściany niebezpiecznie zaczyna się chwiać nad łóżkiem. Teraz ona z kolei złożyła akt oskarżenia do Sądu Powiatowego o eksmisję. Kwaśniewscy więc złożyli rewizję od wyroku, który otrzymali, a adwokat ich posiadający przed nazwiskiem dwie literki „dr” mowę obronną, podwinąłszy łogę wysoko, złożył.

(„Sygn. K.P. VIII/1959. Nieuzasadnionym jest argument, jakoby oskarżeni „spowodowali zniszczenie” tym, że usunęli belki oskarżycielki spod swojego mieszkania, aby umożliwić wyschnięcie ściany świeżo zremontowanej i nie dopuścić do zawilgocecia mieszkania. Uczynili to zresztą nie wszyscy oskarżeni tylko jeden z nich i to nie tylko on. Sąd wcale nie zbadał, czy rzeczywiście belki te zagrażały zawilgoceciem mieszkania. Przecież trzeba, że Sąd mógł tej kwestii nie badać — bo przecież nie chodzi tu o proces posesorski, tylko o proces powołany przez Konstytucję — to chyba to samo odnosi się nie tylko do czci oskarżycielki ale i do czci oskarżonej. A quo!”

brymi ludźmi, a Karpińska gorsza do współżycia. Zupelnie obcy św. Aleksy Cwaj nos wyrażnie stwierdza prokurator że strony oskarży-

ja cie
zniszcz...

cielki („wy cholery, ja wam nogi poprzetrącam”) — i cóż na to Sąd a quo? Nie! A św. Parzybut, który stwierdza, że Karpińska więcej ordynarnie się odzywała — to także nie? A świadek Graber, który wystawia jej świadectwo, że jest niezdolną kobietą!

„Ale najwspanialszym jest chyba argument zaskarżonego wyroku, że oskarżycielka obrażając dotkliwie lokatorów działała „w obronie koniecznej”.

Dalsze argumenty Sądu a quo, że oskarżeni naruszyli „dobre stosunki sąsiedzkie” — nie są zgodne z materiałem zeznań w sprawie, bo stwierdzono, że to właśnie oskarżycielka zachowywała się jak feudalna pani wobec swych poddanych i ona to psuła stosunki sąsiedzkie. A co do tego, że część i dobre imię obywatela są chronione przez Konstytucję — to chyba to samo odnosi się nie tylko do czci oskarżycielki ale i do czci oskarżonej. A quo!”

niecznością złą, stały się nawet problemem społecznym i dlatego też wymagają społecznej, wszechstronnej interwencji, a przede wszystkim radykalnej ingerencji wydziałów lokalowych. Chodzi o to, żeby nie tworzyć nowych ognisk zapalnych i likwidować w miarę możliwości istniejące. Sądy, kolegia orzekające, sądy społeczne mogą bowiem eliminować tylko objawy. Do rzadkości należą natomiast eksmisje, gdzie wyrok są egzekwować. Zaś apelowanie do sumień bliźnich, aby się kochali we wspólnych kuchniach, łazienkach, korytarzach i ubikacjach jest czystą utopią.

— Jak będziecie rozwiązywać podobne problemy za lat 1000, kiedy na metr powierzchni przypadać będzie jeden człowiek? — pytałem pewnego urzędnika kwatunku. Urzędnik zmarszczył czoło i odrzekł: „to tylko kierownik wie. Ja wysyłam pismem do petentów”.

Na przykład następującej treści:

(„Do ob. Marceliny Karpińskiej w Łodzi. W związku ze skargą obywatelki w sprawie przydzielenia jej samodzielnego lokalu Prezydium DRN, ref. Spraw Lokalowych zawiadomiła, że po zbadaniu sprawy Komisja przyznała obywatelce odpowiedni lokal zastępczy przy ul. itd.”)

KAROL BADZIAK

*) Sprawa i fakty są absolutnie autentyczne. Nazwiska — zmyślone (red.).

Sedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

KULTURA

dyspozytorzy

Przysłowie mówi, że każdy kij ma dwa końce. I w tym rzadkim wypadku przysłowie mówi prawdę. Tym bardziej mówi prawdę, że dotyczy to kija zarówno w sensie dosłownym, jak i przenośnym. Taki przenośny kij o dwóch końcach można zrobić ze wszystkiego. Na przykład z medycyny. Wiadomo, że obok zawodu nauczycielskiego zawód lekarski to najpiękniejsza i najbardziej humanitarna dziedzina działalności ludzkiej, bo poświęcona całkowicie niesieniu człowiekowi ulgi w cier-

pieniu i obronie jego kruchego życia przed wszechwładną śmiercią. Humanitaryzm medycyny jest tak szeroki, że nie ogranicza się jedynie do człowieka, ale obejmuje także zwierzęta, a nawet rośliny.

A jednak i ta najbardziej wzruszająca dziedzina ludzkiego altruizmu, tak zdawałoby się całkowicie i bez rezerwy oddana na wyłączny użytek dobra, nie jest wolna od skazy i może służyć złu. Wiemy przecież, że zarówno podczas pierwszej wojny światowej, jak i zwłaszcza osta-

tniej, środki medyczne używane były do najpotworniejszych zbrodni — właśnie zamiast zdrowiu służyły kalecy i chorobie, zamiast życiu — masowej śmierci. Broń bakteriologiczna, stosowanie sterylizacji, toksynizacja więźniów w celu wydobycia z nich zeznań, wreszcie, że tak powiem, tanatyzacja niewygodnych ideologicznie, ekonomicznie lub rasowo zarówno poszczególnych ludzi jak i całych narodów, to znana nam już dobrze straszliwa praktyka faszystowskich i faszystujących dyspozytorów medycyny.

Czy można winić samą medycynę za te niewątpliwie zbrodnie działania za jej pośrednictwem? Nie, nie można. Winien jest tutaj ów dyspozytor. Podobnie ma się sprawa i z techniką współczesną i z każdą inną dziedziną praktyki, a nawet myśli i wyobraźni ludzkiej, jak nauka i sztuka.

Modne są ostatnio dyskusje nad problemem rzekomego antagonizmu między humanizmem a techniką. Że niby technika zagraża humanizmowi, zagraża nauce czyli czystej myśli ludzkiej, zagraża sztuce czyli czystej wyobraźni i bezinteresownemu uczuciu ludzkiemu. Tymczasem wiadomo z historii doświadczenia ludzkiego, że pierwszy wynalazek techniczny — kij czyli przedłużenie ręki ludzkiej — był związany z naro-

dzeniem się pierwszej myśli ludzkiej, z przebudzenia się wyobraźni ludzkiej i pierwszego uczucia czyli radości ze stwierdzenia użyteczności tego pierwszego wynalazku czyli kija. Dalszy rozwój myśli i wyobraźni czyli nauki i sztuki uzależniony był ściśle od rozwoju narzędzi, od ich kombinacji i koordynacji czyli machin, a więc ogólnie mówiąc od techniki. Technika oddalała człowieka od pierwowoźni, a zbliżała go ku niemu samemu, ku jego wnętrzu, ku jego myślowi, wyobraźni i uczuciom, tak zwycięskimi właśnie w technice, za pomocą której skutecznie zaczął opanowywać i ujarzmić świat.

Nie ma więc humanizmu bez techniki, a techniki bez humanizmu, gdyż oba te działy ludzkiej praktyki służą dobru człowieka. Bez tego jednego i podstawowego celu nie mają w ogóle sensu. Żaden świadomy swego posłannictwa technik nie będzie lekceważył humanizmu, a żaden prawdziwy humanista nie będzie negował techniki, gdyż byłoby to wypieranie się własnego swych własnych źródeł. Są to dziedziny dialektycznie ze sobą związane i uzależnione.

A jednak każda z tych dziedzin może być kijem o dwóch końcach. Na przykład współczesna technika w postaci zło-wrogi broni termojądrowej

grozi zagładą nie tylko humanizmowi, ale wprost życiu całej ludzkości, jeśli nie zżyciu w ogóle, przynajmniej w obrębie globu ziemskiego. Czy winni temu są technicy? Nie, winni są temu dyspozytorzy techników. Zresztą to nie jest jedynie niebezpieczeństwo grożące światu ze strony techniki, to jest tylko to totalne i finalne czyli ostateczne. Ale są inne pośrednie, lecz nie mniej zgubne niebezpieczeństwa kryjące się w niewłaściwie wykorzystywanych zdobyczach współczesnej techniki — to stopniowe wypieranie przez nią humanistyki czyli zżewanie, wyjawianie i wysuszanie źródła własnego rozwoju. Technika, która zabija myśl, wyobraźnię i uczucie człowieka, staje się zapowiedzią swej własnej zagłady, a zagłada techniki, to powrót człowieka do jaskini i jego autodegradacja do poziomu troglodyty. Historia zna przypadki, że również i humanizm stanowił niebezpieczeństwo dla świata. Tłumił rozwój techniki czyli zasypywał źródło, mordował ludzi, zabijał ich myśl, gasił wyobraźnię, tłumił uczucie. Okres średniowiecza był inkubatorem podobnego humanizmu. To przecież ówczesni humaniści wynaleźli świętą inkwizycję, spalili żywcem Giordana Bruna, a po nim tysiące i setki tysięcy podobnych jemu w myśli, wyobraźni i uczuciu. Przypuszczam, ówczesni huma-

niści czy ich dyspozytorzy? Naturalnie, że nie humaniści, tylko ich ówczesni dyspozytorzy, którzy pod karą uwięzienia lub śmierci zabraniali Kopernikowi ogłaszać za życia to, co napisali, a Galileuszowi pisać o tym, o czym myśleli.

Także więc i tzw. humanizm ma na swym koncie historycznym nie mniej ciemnych plam, niż technika, i wszelka licytacja pod tym względem niewiele ma chyba sensu.

Na szczęście, nad automatyzmem rzeczy panuje człowiek, ich dyspozytor. Od stopnia jego humanizmu zależy skuteczność jego panowania nad przyrodą, a więc i nad samym sobą. Człowiek, który pierwszy chwycił kamień, aby nim zabić zagrażające mu zwierzę, był wynalazcą, a więc twórcą czyli człowiekiem myślicym, następni po nim, którzy zrobili to samo, powtórzyli tylko jego gest, byli naśladowcami, korzystali automatycznie z jego twórczej myśli.

Tylko człowiek o głębokim poczuciu humanizmu, jako dyspozytor techniki, potrafi w niej odróżnić życiodajny wynalazek, który jest błogosławieństwem, od bezdusznego automatyzmu, który jest przekleństwem ludzkości i największym jej zagrożeniem — i korzystać z tej twórczości możliwości, udaremniając śmiercionośność automatyzmu.

Wjechał do harem? — Nie, to prawie, że niemożliwe. Jest to przecież najcenniejszy skarb jednego człowieka, zazwyczaj przez niego strzeżony. Za kobietą wchodzącą do harem staje się własnością władcy i tylko za jego zgodą może go opuścić.

Zresztą w Maroku jest coraz mniej haremów. Na utrzymanie ich trzeba bowiem ogromnej fortuny i specjalnego stylu życia, a tym większą część muzułmanów przecież nie dysponuje. Nawet ci, których stać na ich utrzymanie nie lubia rozgłosu, gdyż ściągają one dodatkowe podatki.

Wreszcie — w tym kraju coraz bardziej podbijanym przez postęp, samo słowo „harem” jest źle przyjmowane, ustępując miejsca wstydliwie używanemu „wielka rodzina”.

I. JAK DOSTAŁAM SIĘ DO HAREMU

Powyższe informacje zebrane w Tangerze wykazały niedorzeczność mojego przedsięwzięcia, ale porwana oryginalnością tematu planowanego reportażu, nie zrażałam się przeciwnościami. Wreszcie — moja przewodniczka, Colette — młoda Marokanka, doskonale zorientowana w tajemniczym świecie Tangeru — zgodziła się skontaktować mnie z dziewczyną z harem — Azizą, która od czasu do czasu przybywała do Tangeru, aby zobaczyć się ze swym ukochanym, młodym tancerzem Hafidem.

Aziza — była drugą żoną bogatego człowieka Ahmada, al-Yamana, posiadacza wspaniałego pałacu w Chechaoune, który spędzał większość swego życia poza pałacem, na Saharze, lub w innych okolicach, zajmując się poszukiwaniami ropy.

Nie więc dziwnego, że tak zęznej kobiecie jak Aziza, u-

dało się wymykać z pałacu pod jego nieobecność, mimo że zasadniczo nie wolno opuszczać harem.

I teraz nie było Ahmada w pałacu, a powrotu spodziewano się dopiero za kilka tygodni.

Aziza, mająca krew europejską w swych żyłach, zgodziła się wprowadzić mnie do harem, jako swoją daleką „kuzynkę”, przybyłą w odwiedziny. Chodziło jeszcze o uzyskanie zgody pierwszej małżonki Ahmada. Niezależnie Aziza przekazała pozytywną odpowiedź.

Po kilku godzinach jazdy samochodem z Tangeru załaziła w słońcu wśród zieleni, na wzgórzach, wspaniała rezydencja Ahmada.

Colette udzielała mi wiadomości o pani tego domu, pierwszej żonie Ahmada. Raria — była córką profesora archeologii Uniwersytetu Kairskiego. Tam poznał ją Ahmad i urzeczony jej urodą, poślubił ją szybko. Dziś Raria ma 27 lat i jest matką dwójki dzieci. Po ślubie z Rarią — zgodnie z prawem muzułmańskim (wg którego Ahmad miał prawo do 4 żon) Ahmad wprowadził następną żonę do harem. Jednak dotąd nie skorzystał z prawa do 4, wprowadzając jako ekwiwalent 12 konkubin, które wraz z trzema żonami tworzą jego harem.

II. RZĘKOMY RAJ

Colette zapukała do wielkich drzwi pałacu. Otworzył służący i poprowadził nas marmurowymi korytarzami do sali przyjęć. Aziza — po raz pierwszy bez zasłony, w pięknym zielonym kaftanie, już czekała. Była śliczna, o smagłej cerze i wielkich oczach, w których misały się radość i obawa. Przeprosiła mnie za „złą angielszczyznę” i pocieszyła, że Raria lepiej nią włada, prosząc, abym nie zdradziła jej sekretu. Przyrzekłam solennie dochować tajemnicy. Od pierwszego wejścia do pałacu nie miałam, że słostrzane uczucie do tej dziewczyny, tak różnej ode mnie całą gamą sytuacji i poglądów. Z dziesięcinną radością wzięłam ją za rękę i pożegnawszy Colette poprowadziła w głąb pałacu. Był to prostokątny, dwupiętrowy budynek 4-skrzydłowy. W każdym skrzydle było wiele pokoi wychodzących na ogromny ogród. Był to prawdziwy ogród z tyśiącą i jednej nocy, pełen „żywych kwiatów”. Jedne z nich grupowały się wokół fontanny z niebieskiego marmuru, inne rozmawiały siedząc u stóp drzew, lub czesały włosy.

— A oto — powiedziała Aziza — harem, lub po prostu „dzielnicę kobiet” i wprowadziła mnie do długiej i wąskiej sali ozdobionej adamaszkami i wybitej materiałem o żywych barwach, w której unosił się zapach piżma. Z rzeźbionego drewnianego sufitu inkrustowanego kością słoniową zwisała ośniewający „pająk” z kutego żelaza. Miękkie dywany o puszystym włosie leżały na podłodze, przy ścianach stały tylko tapczany pełne poduszek. W głębi w małej alkowie dominowało łóżko dla małżonki symbolizu-

jąc jej wyższość nad prostymi konkubinami. „Tu — objaśniała Aziza — mieszkają kobiety bezdzienne, wyżej w identycznej sali mieszkają matki z dziećmi. A teraz chcę panią zaprezentować Rarii i dziewczętom”. Mówiąc to wyszukała w garderobie kaftan odpowiedni do mojego wzrostu i złoczone sandały. Tak przebrała i nieco drżącą poprowadziła mnie pseudo-kuzynką do Rarii.

Raria mówiła doskonale po angielsku i powitała mnie chłodnym głosem i uścisnęła dłoni. Pierwsza żona Ahmada była brunetką o ciemno-niebieskich, prawie fioletowych oczach. Wydawała się uosobieniem kobiecości, a jej sposób bycia, pełen kurtuazji, nie pozostawiał był jednak poczucia własnej godności. Potem nastąpiły prezentacje trzeciej żony Huori i konkubinami: Omai, Aicha, Malika, Fatima i innym. Kiedy została znów sama z Azizą, dziewczyna całkiem niespodziewanie zaczęła mi się zwierzać, prosząc o wyrozumienie.

HAREM bez OSŁONEK



„Może pani źle o mnie sądzi z powodu Hafida. Nie wiem, czy pani rozumie, pani nie może tego pojąć! Ahmad bardzo często wyjeżdża — ciągnęła, a głos jej stawał się gwałtowny — a nawet, jeżeli jest w pałacu, to nie zawsze ja jestem wzywana do jego apartamentów. A ja przecież jestem normalną dziewczyną — rozumie pani — ja potrzebuję czułości i miłości. Jeżeli więc nie mam jej tutaj, szukam gdzie indziej. To proste!”

— A inne? — zaryzykowałam pytanie.

— Inne — odparła wzruszając ramionami — np. Raria nie odczuwa takich potrzeb, ona jest lodowata, zresztą ma swoje dzieci. Inne... Zdarza się, że ko-

chają się wzajemnie — dorzucała z grymasem. — Ale ja Kocham tylko mężczyzn!

Rozmawiając udaliśmy się na pierwsze piętro. Sala nad haremem była identycznej wielkości i tak samo urządzona, ale oprócz tapczanów stały tu trzy, cztery kółki bogato ozdobione. Mieszkali tu dzieci obojga płci ze swymi matkami. Chłopców po skończeniu siedmiu lat przenosi się do „selemluk”, to jest „męskiej dzielniczy”, gdzie podlegała bezpośredniej kontroli ojca. Tam uczą się pisać i czytać, studiują Koran i jedynie od czasu do czasu do czasu widują swe matki.

— A male dziewczynki? — zapytałam.

Aziza uczyniła gest bezsilności, a w oczach jej pojawiła się rozpacz.

— Dziewczęta u nas nie znaczą, tyle co krzesło, łóżko, nie więcej.

Wiedziłam już wiele, jak na początek i mogłam sobie wyobrazić dramat ukrywający się w głębi harem. Na gładkiej na pozór jego powierzchni zauważałam niezgodę, intrygi i tęsknoty. Głos gongu wzywał do nieobecności krzyżując nogi po turecku. Usiadłam tak jak one, gdyż kiedy wniesiono stoły nie było miejsca na wyciągnięcie nóg normalnie. Zupa była gęsta

i tłusta, co w rodzaju jarzyny na mięsie. Zawahałam się nieco, kiedy służąca podała jedną serwetkę, którą wszystkie po kolei wycierały usta. Ale dopiero drugie danie nastroczyło prawdziwych trudności. Podano na srebrnym półmisku barana upieczonego wraz z głową, rogiem i kawałkiem ogona. Brakowało mu tylko skóry i wnętrzności! Przy tym nie podano ani talerzy, ani noży. Patrzyłam ze zgrozą jak będą jeść. Aziza zwróciła się do mnie, abym jako gość wzięła pierwszą. Zaczęłam więc się po same uszy, co widząc Raria, pragnęłam mi widocznie pomóc w trudnej sytuacji, powiedziała: „W krajach muzułmańskich jest zwyczaj posługiwania się tylko prawą ręką przy jedzeniu” i zanurzywszy rękę prawie po łokieć w brzuchu barana wyciągnęła wątrobę podając mi ją przez stoł. Kiedy znów zjawiała się służąca z serwetką, co oznaczało koniec obiadu, odetchnęłam z ulgą.

Po posiłku Aziza powiedziała mi, że niektóre dziewczyny nie są zadowolone z mojego przybycia. Rozmawiały ze swoimi „dżinami”, które powiedział im, że sprowadzę nieszczeście i że chcę zostać czwartą żoną Ahmada, co wzbudziło ich zrozumięciem i niechęć. Każda z nich pragnie bowiem nia zostać i korzystać z przywilejów żony, to jest otrzymywać więcej prezentów niż inne, spać w oddziel-

ny. Dwa wspaniałe „Mercedesy” i dwóch szoferów były do ich dyspozycji. Po dwóch tygodniach pobytu sama Raria zapytała mnie o wrażenia z pobytu w haremie. Przede wszystkim ciekawi mnie — odpowiedziałam swobodnie — jak tyle kobiet może się dzielić jednym mężczyzną? Raria uśmiechnęła się: „Proszę nie zapominać, że u muzułmanów mężczyzna jest uważany za istotę wyższą od kobiety, która musi mu być posłuszna. Związka, jeśli ten mężczyzna jest upoważniony przez Koran do posiadania czterech żon, które kocha jednakowo i nie wyróżnia żadnej. W rzeczywistości ta reguła Koranu w dawnej epoce oznaczała wielki postęp, hamując namiętności męskie. Koran bowiem oblicuje tym większą szczerliwość nieba mężczyźnie, im czulszy jest dla swojej lub swoich żon. Wbrew temu, co pani może sądzić, prawo Koranu wychodziło naprzeciw kobiet”. „Ale jak mężczyzna może kochać równocześnie cztery kobiety?” „Dlaczegoż by nie — podjęła żywo — czyż nie można równocześnie kochać cztery różne kwiaty: różę, różę, różę, różę? Wspaniałe tulipany i dziki polny kwiat. I sądzę, że on marzy jeszcze o setce innych, zależnie od swego temperamentu. U nas żadna nie jest zazdrosna o drugą, gdyż każda ma co innego do ofiarowania

Ahmedowi”.

Byłam wzburzona. W jakim celu Raria tak idyllicznie przedstawia mi życie harem, jaki dramat ukrywa się pod jej pozornym chłodem? Z własnej obserwacji wiedziałam, że jest inaczej. Dziewczęta żyjące w tej atmosferze erotycznej, a jednocześnie asekualnej cierpiły na kompleksy niższości i na nerwice. Słyszałam w nocy, w naszej wspólnej sypialni jęczące głosy błagalne — głosy dziewcząt wchodzących w trans ze swymi „dżinami”. Charakter tych czułych rozmów z „wymaglinowanym” wykazywał dobitnie czego im brakowało.

III.

DROGI WIODĄCE DO „ZŁOTEJ KLATKI”

Któregoś dnia pełna temperamentu Zeinaba opowiedziała mi swoją historię. Pochodziła z Etiopii, z ziem królowej Saby. Jej ojciec był wodzem wioski, nie miał żon, lecz wiele konkubin. „Wszystkie kobiety w promieniu 30 km — powiedziała dumnie — odwiedzały mego ojca, największego miłośnika od czasów Salomona, nawet gdy miał już 70 lat”. Ona sama miała pierwszego męża mając 10 lat. Przeżyła wiele sukcesów miłosnych, opowiadała o nich w haremie drażniąc nimi Omayę, która była ekspertem w tych sprawach i uświadamiała nowe przybywające tu dziewczyny. Omayę pochodziła ze szczepu Ouled Nails żyjącego w namiotach na pustyni i słynącego z lubieżnych tańców brzucha. Dziewczęta tego szczepu od najmłodszych lat zajmowały się prostytucją, co nie przynosiło im ujmę w opinii szczepu. Przeciwnie, mogły wychodzić za mąż i wtedy porzucały swój „zawód”, poświęcając się mężowi. Omayę tańczyła już mając 5 lat wokół ognia przed podróżnymi z karawan. Mając 15 lat była już bogata, a imię jej było słynne na całej Saharze. Pewnego wieczoru przybył z karawaną Ahmad, snobowała mu się i zaproponował jej zabranie do swego pałacu. Zgodziła się.

Od jakiegoś czasu bardzo żyłam się z malarką Rebekką. Ta młoda kobieta, żyła w swym abstrakcyjnym świecie barw i kształtów i marzyła o pejzażach rodzinnej Syrii, o palmach na pustyni. Odczuwała potrzebę ruchu, wyjazdu, zobaczenia zmierzchów na Saharze i okrętów na morzu. Urodziła się w Damaszku, ojciec jej był muzułmaninem a matka chrześcijanką. Mając 10 lat zaczęła się uczyć rysunku u miejscowego malarza. Ale już po 5 latach nauczyciel orzekł, że go przewyższyła. Wtedy, aby poznać szerszy świat wyjechała do Bizerty, w celu udania się do Libii.

W drodze porwała ją karawana nomadów i wiozła z oazy do oazy. Któregoś dnia napotkali obóz Ahmada. Ahmad zainteresował się nią i zaproponował: „czy chce spędzić resztę życia u niego malując do woli?” Zgodziła się, gdyż życie jej było bardzo ciężkie. Dziś żałuje tego.

Inne kobiety nie darzyły mnie jednak sympatią. Pewnego ranka znalazłam zdechłego ptaszka na swej poduszce. Innym razem pod tapczanem był zeznialy „rondel”, potem kosmyk czarnych włosów na koldrze, a kiedyś obudziwszy się spostrzegłam czerwony gałganek przywiązany do dużego palca u mego nogi. Zdziwiona sądząc, że to żart opowiedziałam to Azizie. Ta zbliła bardzo i wyszeptala: „to straszne, jakaś dziewczyna chce rzucić na panią czar. Może pani urodzić węża, lub zamienić się w dragona”. Zaczęłam się śmiać, ale ta specyficzna atmosfera tak wpłynęła na mnie, że naprawdę poczułam się nie-swojo. Za kilka dni około północy kiedy udawałam, że śpię, zaczął się zbliżać jakiś cień do mego sofy. Wyskoczyłam i chwyciłam intruza za rękę. Obudzone moje sąsiadki zapaliły światło i ujrzałam wykrzywioną nieważką twarz Thorai, dzikiej dziewczyny z Rif. Trzymała w ręce gnijącego węża, którego chciała wsunąć mi do łóżka. Scena ta wywołała liczne komentarze, ale rozwiązanie moich awantur przyszło z innej strony. Wezwała mnie Raria, „Proszę śniadanie — powiedziała. Chce z panią pomówić. Zamierzam, sądzę, że odkryła moje oszustwo, lub Aziza zdradziła. Mam dobre nowiny, zaczęła. Mój mąż Ahmad wraca w następnym tygodniu”. Uczułam, że błędne, lecz uśmiechnęłam się usiłując ukryć zmieszanie. „To nie wszystko co chciałam pani powiedzieć. Od 5 tygodni obserwowałam panią i doszłam do wniosku, że posiada pani wszystkie dane, aby zostać dobrą żoną muzułmanina”. Patrzyłam na nią, bojąc się zrozumieć do czego zmierza. „Proszę posłuchać Jane — mówiła dalej z zapalem niespotykanym u niej. Żadna z konkubin pałacowych nie jest godna zostać czwartą żoną Ahmada. To zwykłe wieśniaczki, jednakże pociąg. Pani jest inna. Znam Ahmada i pomogę pani zostać czwartą żoną.

Nie słuchałam jej opowiadania, rozmyślając nad sposobami uniknięcia takiego losu. Zostało mi tylko 5 dni. Raria zaś wzięła moje milczenie za zgodę. Następnego dnia spotkałam ją pełną projektów na ten wielki dzień. Och, Jane! „Pani jest jedyną kobietą, która zna wielki świat. Wszystkie inne — ciągnęła z grymasem nadając się jedynie na służącą. My się rozumiemy i razem możemy mieć wpływ na Ahmada. On jest bogaty, ciągle podróżuje. Da nam tyle pieniędzy, ile zechce. Ja też jestem młoda, chcę wyjechać, a nie zarządzać tylko pałacem pod jego nieobecność. Jane, błagam, niech pani mi pomoże wreszcie żyć!” Miałam tak ściśnięte gardło, że nie mogłam jej odpowiedzieć. Zobaćzyłam prawdziwą twarz dumnej i chłodnej Rarii rządzącej żelazną ręką harem. Okazała się kobietą taką jak ja, pomimo swej muzułmańskiej rezydencji czuła się tu jak w więzieniu, z którego pragnęła uciec. Lecz co mogłam dla niej uczynić?

Tego samego wieczoru, pod osłoną nocy, nie zabierając walizki, ani nawet chusteczki do nosa uciekałam z pałacu Ahmada.

Z francuskiego przełożyła: W. SZCZEPANSKA

KRYSTYNA WOJTASIK

The COMEDY of ERROS

Kiedy gasną już ostatecznie światła na scenie Teatru 7,15, a zapalają się na widowni, masz chwilę czasu. Rozbawiony Widzu, aby do- kładnie przeczytać na ustawionej tuż przy rampie tablicy, imitującej zwój starego pergaminu, że „Komedia omyłek” („The Comedy of Erros”) Williama Shakespeara grana była po raz pierwszy w roku 1594 w Gray's Inn. I możesz być pewny, Rozbawiony Widzu, że studenci owego londyńskiego kolegium prawniczego bawili się na niej równie dobrze jak Ty, a pewnie i lepiej, gdyż ludzie Renesansu umieli śmiać się jak dzieci, szczerze i głośno. Trudno im się dziwić. Byli przecież o tyle mniej subtelni od nas, nie znali kina, telewizji.

„Komedię omyłek”, pierwszą swą komedię i jeden z najwcześniejszych swych utworów napisał Szekspir (jak donoszą jego biografowie) w 1592 r. Miał więc wówczas 28 lat, i zapewne dobrze jeszcze pamiętał czasy, kiedy jako początkujący i kiepski (jak głosi fama) aktor, trudnił się dodatkowo przepisywaniem cudzych sztuk. W owym roku 1592 był jednak na tyle popularnym aktorem, by zasłużyć sobie na drukowaną, a zjadliwą napastę ze strony zawistnego kolegi — dramaturga. Kolega ów, Robert Greene, pragnąc najwidoczniej „załatwić się” z niebezpieczną konkurencją, ostrzegł innych autorów sztuk teatralnych przed pewnymi aktorami, wśród których grasuje „wrona parweniussa, strojna w cudze piórka”, której wydaje się, że jest „jedynym Trzesiseną (Shakescene) w Anglii”. Greene operując tą przejrzyistą aluzją nie zdawał sobie sprawy, że zapewni mu ona nieśmiertelność.

Pod jednym tylko względem Greene miał trochę racji. Chodzi tu o cudze piórka... Korzystał z nich Szekspir, zgodnie zresztą z obyczajem epoki, z całą bez troską i bezwzględnością wielkiego talentu, zdającego sobie sprawę, że nawet z najbardziej tzw. oklepanego tematu potrafi uczynić rzecz nową i całkowicie własną. W „Komedi omyłek” jeszcze mu się to w zupełności nie udało, jeszcze z niepewnością nowicjusza trzyma się dość ściśle swych pierwszorzędów, czyli wątku „Bliźniaków” Plautusa uzupełnionego przez „Amfitrioną” tegoż starożytnego autora. Nie decyduje się jeszcze umiejscowić akcji swej sztuki we współczesności, w potężniejszej i bogatszej się Anglii elżbietańskiej, pozostawia ją epoce żywiołowej werwy, a postaci, choć jeszcze psychologicznie nie rozbudowane, noszą już cechy własnych obserwacji. Czy to będzie doktor Szczy-pak, astrolog i lekarz, najbardziej zjadliwie i z wyraźną antypatią potraktowana postać tej komedio-farsy, czy rozchukany Antyfolus z Efezu, czy wreszcie jego żona, wszyscy oni, czuje się to, znaleźli swoje pierwowzory w otoczeniu poety. Zwłaszcza

Dalszy ciąg na str. 10

odgłosy

str 9

Andrzej Ostoję pożegnane PRZYJĘCIE

Do patrolujących funkcyj-
nisty MO dobiegła zadyszana
kobieta.

— Na pomoc! Pożabijają się!
Błagam was — pomóżcie! Bija
się dwie rodziny, zabijają mi me-
ża!

Dwa milicjanci wchodzący w
skład patrolu, st. sierżant Jan
N. i st. sierżant Henryk O. zna-
li swoje obowiązki. Wiedzieli,
że wszędzie tam, gdzie dzieje
się komus krzywda, trzeba spie-
szyc z pomocą.

Z daleka już dochodziły krzy-
ki i zgiełk wałki.

Dobiegli na miejsce. Zza drzwi
mieszkania na II piętrze roz-
legały się wołania o pomoc i od-
głosy taktów, jak by szalało tam
tornado. Drżał cały dom.

Sierżant N. zdecydowanym
ruchem otworzył drzwi. We-
wnątrz było ciemno od dymu
papierosów. Skleciona masa ciała
przewalała się po podłodze.

— Zaprzęście bójki! Milicja!
— krzyknął sierżant.

Zaległa cisza. Waleczący me-
żczyźni powoli podnosili się z
podłogi. Raptownie rozległ się
krzyk: „Bracie! Bracie!” Runął la-
wa. Czerwone twarze, wybu-
szone oczy, gorące oddechy, dzikie
okrzyki. Dziesiątki rak
wzepłyły się w mundur sierżan-
ta. Posypały się uderzenia.

W ciemności pomieszczenia nie
mogli atakować z rozmachem.
To uratowało funkcjonariusza,
który przy pomocy sierżanta
Henryka O. wydrapał się z rak
napastników. Cofał się teraz po-
schodach. Ramię przy ramieniu,
Broniili się palcami. Przewaga
maternej była jednak zbyt
znacząca. Rozbrzmiewały okrzy-
ki: „Zabijcie! Rozszarpacie! Roz-
brojcie!” Coraz więcej celnych u-
derzeń. Ręce sięgały do
kabur pistoletów. „Aby tylko
nie dać się rozbroić!” — myśle-
li obydwa. Wydołali się w
końcu na podwórko. Cofali się
teraz szybko. Biegli. Za nimi gnał
tłum. Pierwsza butelka z trza-
skiem rozbiła się o mur tuż
przy głowie sierżanta Henryka
O. Kiedy wreszcie wybiegli na
ulicę. Obszarpani i potrawie-
ni. Ledwo trzymali się na no-
gach.

W mieszkaniu Szezeńskich
wyprawiano wielką ucztę z oka-
zji mającego nastąpić odejścia
do wojska młodego Stanisława
Szezeńskiego. W libacji brało u-
dział 14 osób — 9 mężczyzn i 5
kobiet. Całe rodziny Szezeń-
skich i Sadek, małżeństwo Wa-
leszków i Doryniów. Około go-
dziny 20.00 Wanda Waleczka, be-
dząca w szóstym miesiącu ciąży,
chciała iść się do domu,
ubrała się w płaszcz i wyszła
na klatkę schodową. Wybiegł za
nią jej mąż, który najpierw
przy pomocy perswazji, a po-
tem siły, starał się nakłonić żo-
nę, aby pozostała na przyjęciu.

W trakcie szamotaniny się Wa-
leszków nadziedził idący z pod-
wórza Jan Doryń, który stanął
w obronie Wandy Waleczki, za-
atakował jej męża i wdał się z
nim w bójkę.

Odłożył wałki, jaka toczyła
się na schodach, zwabily po-
zostali goście: wyszli oni na
schody i chcieli rozdzielić Do-
rynia i Walezkę, jednakże z
rezultatem rozprześli się między
sobą, porzuciwszy na schodach,
a następnie w miesz-
kaniu.

Wtedy to Irena Szezeńskowa,
obawiając się o swego męża, za-
władomym o awanturze patrol
miejscowy.

f) Niewielka została zmienio-
na.

W wyniku pierwszego starcia
st. sierżant Jan N. został ogol-
nie pobity, zniszczono mu zu-
pełnie czapkę i urwano gwiz-
dek, a st. sierżant Henryk O.,
poza ogólnymi obrażeniami,
miał pokaleczone ręce.

Kiedy pod wpływem wroglej
postawy ludzi zgromadzonych
na ulicy, napastnicy cofnęli się
za bramę, zamykając ją na kłód-
kę, odbyło „naradę wojenną”.

— Jasne jest — powiedział
Stanisław Szezeński (ojciec) —
że oni tu wrócą. Trzeba się
przygotować. Za kamieniem! Za
butelką! Żeby były pod ręką!

— Niech tylko przyjdą, to my
im pokażemy! — rozległy się
gromkie okrzyki.

I tak niedawno zwaśnione ro-
dliny, w przykładowej zgodzie,
poczęły gorączkowo gromadzić

Z notatnika prokuratora

zapaszy cegiel (przygotowanych
do budowy komórki), kamieni
i butelek.

Milicjanci w tym czasie spro-
wadziły posiłki, nadjechały 3
radiowozy i w siłę kilkudziesięciu
ludzi milicja postanowiła wkro-
czyć powtórnie na teren pose-
sji.

Poczęto dzwonić i dobijać się
do bramy, co trwało przeszło 20
minut. W końcu podszedł do
bramy dozorca — Stanisław
Szezeński (ojciec), który osłowił
cegi: „Co? Wam otworzyć?”
Wam? (tu posypały się obelgi
i epitet). W miarę wypowiada-
nych słów i formułowania co-
raz to bardziej obelżywych o-
kreśleń, Szezeński własnymi si-
łami podniósł się do tego stop-
nia, że w pewnym momencie
otworzył bramę i rzucił się z
obrzygniętą kłódką w ręku na
plutonowego S., chcąc go ude-
rzyć. Wywiązała się krótka wał-
ka, w czasie której Szezeński ro-
zstał obelżywnie. Senior ro-
zstał zdążyć jednak krzyknąć has-
ło bojowe:

— Szezeński! Sadek! Na po-
moc! Do mnie! Do mnie dzie-
ci!

Po tym wezwaniu na podwór-
ko wybiegło całe towarzystwo,
uzbrojone w kije, butelki, ce-
gi i żarówki. Wywiązała się za-
żarta wałka, w czasie której
mężczyźni wspomagali kobiety,
które z balkonów i okien rzuciły
w funkcjonariuszy butelkami, a
nawet lały na nich wrzawę wo-
dy. Matka domu Szezeńskich —
Helena Szezeńskowa, donosiła
walcącym butelką w podłokiu
słafroka. Całe podwórko zamie-
niło się w jeden plac bitwy,
gdzie ścierano się zarówno po-
jedynczo, jak i grupami. Po 30
minutach formalnego boju mil-
licja postanowiła wycofać się z
podwórza, aby nie dopuścić do
rozlewu krwi.

Sierżant J., ugodzony w twarz
butelką, wraz z kilkoma innymi
milicjantami, którzy doznali po-
wziętych obrażeń — zostali
odwiezieni do szpitala.

Po przyjeździe na miejsce za-
żądał pododdziału porucznika S.
milicja w znacznej sile na raz
wkradła się na podwórko i
już nie atakowana butelkami z
okien podeszła do drzwi miesz-

kania. Pod drzwiami natknięto
się na Stanisława Szezeńskiego
(syna), który stawiał czynny o-
por i dopiero po obezwładnie-
niu został umieszczony w samo-
chodzie.

Po wejściu do pokoju poruc-
nik S. zażądał, aby znajdujący
się tam osobnicy ubrali się i u-
dali z milicją. W odpowiedzi na
to Jan Doryń chwycił za butel-
kę i krzyżując: „Spróbujcie nas
zabrać, sk...” — zamierzył się
na porucznika.

W tym momencie wszyscy o-
becni rzucili się na milicję. Po-
nowienie doszło do ostrego star-
cia. Każdą osobę oddzielnie na-
leżało obezwładnić i przy użyciu
siły transportować do samo-
chodów.

Wchodząc teraz oto do gabi-
netu prokuratora, aby składać wy-
jaśnienia jako podejrzani, Ko-
biety i mężczyźni. W podartych
ubraniach. Brudni i posiniałe-
ni. Ponury. Składają wyjaśnie-
nia bezczelnie i z tupetem. Nikt
nie przyznaje się do winy. O
niczym nie wiedzą. Być może,
że ktoś bil się z milicją na pod-
wórzu, ale to nie oni. I owszem,
słyszeli odgłosy wałki, ale nie
interesowali się tym. Mieli swo-
je sprawy. Uśmiechają się
drwiąco. Prokurator zastanawia
się, na co liczą ci ludzie, przy-
mując tak nietożsaczną, bezsen-
sowną linię obrony.

Zajęcie to zdarzyło się nie na
dzikim zachodzie w XIX wie-
ku, ale w centrum wielkiego
miasta, w Łodzi, w dniu 3 lis-
topada 1937 roku, w jednej z po-
sesji przy ul. Piotrkowskiej.

Przez blisko 3 godziny mil-
icja toczyła formalną wałkę z
grupą chuliganów, nie uznają-
cych żadnej władzy i depczą-
cych wszelkie normy współży-
cia społecznego.

Należy z całą mocą podkre-
ślić, iż tylko dzięki wyjątkowo-
mu opornemu milicjantowi i
właściwemu kierowaniu akcją
przez oficerów MO — nie doszło
do użycia broni i związanych z
tym poważnych następstw.

I aczkolwiek od omawianych
zdarzeń minęło już blisko 5 lat,
aczkolwiek sprawy odbyły już
kary więzienia i mają pełną
szansę, aby nie wrócić na drogę
przestępstwa, to jednak pro-
blem pozostał. Problem ten, nie-
stety, nadal istnieje, jakkolwiek
nie przybiera już tak drastycz-
nych form i tych rozmiarów.
Nadal milicja boryka się co
dzień z wszelkimi przejawami
chuliganizmu. Sady nadal są
zapełnione sprawami o czynne
napaści na milicjantów, o ubli-
żanie opornym milicjantom, o
zabójstwo sprawu karną wyta-
czoną przez Prokuraturę i roz-
patrywaną przez Sąd z art. 122
i 133 k.k.) kryje się zakłócenie
porządku publicznego, narusze-
nie prawa i brutalne wystąpie-
nie przeciwko tym, którzy w
swej ciężkiej i odpowiedzialnej
służbie, narażając niejednokrot-
nie własne życie, tego porządku
strzegą.

16262

2) Art. 132, § 1 k.k.: „Kto nie-
włażnie urzędnika, albo osobę,
do pomocy urzędnikowi przybra-
ną, podczas pełnienia obowiązków
służbowych — podlega karze
wziewienia do lat 2, lub aresztu
do lat 2”. Art. 133, § 1 k.k.: „Kto
dopuszcza się czynnej napaści
na urzędnika, lub osobę, do po-
mocy urzędnikowi przybra-
ną, podczas, lub z powodu pełnie-
nia obowiązków służbowych —
podlega karze wziewienia do lat
5”.

Pisał człowiek bardzo je-
szcze młody:

„Staję się czymś zby-
tecznym we własnej ro-
dzinie. Mam lat 19 i jasno o-
kreślam rolę darmożjadą. U-
szczęśliwiam, bądź co bądź, po-
karmy młodszym braciom. Im
się słusznie należy. Po nich
ojciec dotychczas niczego nie
mógł się spodziewać — na
mnie budował przyszłość.
Dziś uświadamiam sobie całą
jego pieczołowitość, z jaką
czuwał nade mną w latach
szkoły powszechnej, śledził
każdą pracę na kursach ma-
larstwa i grafiki, interesował
się każdym skombinowanym
wzorem, pytał i doradzał. By-
łem jego dumą. Kiedyś mia-
łem skończyć praktykę, a na-
de wszystko pomóc ojcu. Mia-
łem być tym, co było jego ide-
ałem. Gdy zrozumiał potrzebę
buchalterii dla rzemieślnika,
wydał swe oszczędności na
roczny kurs tej umiejętności,
by mi nie brakło w przy-
szłym życiu.

I skończyłem praktykę. Od
tego czasu zaczęło się szuka-
nie pracy. Nie zarabiam, nie
dopomagam... Wytworzyła się
straszna głuchota we współ-
życiu rodzinnym. Nie ma o
czym mówić... Jedyną wartość
ma to co daje praca. Na pół-
ce leżą książki, nie biorę ich
do ręki, by nie drażnić ojca.
Wszystko, co wiem, cały mój
świat, jest dziwnie niewspół-
mierny z tym co mnie otacza,
z czym się stykam. Świat ten
opierał się na pracy. Pracowa-
ć. Dlaczego nie mogę
znaleźć pracy?” („Pamiętniki
bezrobotnych”).

W latach 1929—33, kiedy cy-
frowany pamiętnikarz dorastał,
bezrobocie na terenie Łodzi
i okolicy sięgało 41 tys. ludzi
(rok 1933) jeżeli wierzyć ofi-
cjalnym statystykom. Jeżeli
nie wierzyć — bezrobocie było
znacznie większe. Wiadomo
przecież, że Urząd Pośrednic-
twa Pracy niechętnie podawał
liczbę bezrobotnych, a jeśli
już podawał, to tylko zareje-
strowanych, reszta, wcale nie
taka mała, nie istniała, oczy-
wiście nie istniała na papierze,
lecz w życiu. Ponadto trzeba
jeszcze liczyć bezrobocie czę-
ściowe. Łódzki „Robotnik” po-
dawał w roku 1930 (nr 71), że
liczba robotników pracują-
cych 1—2-3 dni wynosiła
75 tys., 4—5-6 dni pracowało
28 tys. robotników.

Z czego żyli bezrobotni? W
budżetach bezrobotnych wło-
knąć można było zaobserwo-
wać dochody, bardzo nierę-
gularne, ale świadczące o roz-
paczliwym imaniu się wszyst-
kiego. Noszenie węgla, raba-
nie drzewa u ludzi zamożniej-
szych, porządkowanie placów,
podwórek, odnoszenie bagaży,
handel uliczny, u kobiet —
pranie, zmywanie, sprzątanie
— stanowiły doroczne źródła
utrzymywania. Miara sytuacji
może być także fakt, że bie-
dacy, którzy gnieźdźdźli się w
ciężkich izbach, odnajmowali
kąt jeszcze biedniejszym. Ale
sublokator bezrobotnego naj-
częściej sam pozostawał bez
pracy.

Inne źródła poszukiwań środ-
ków do życia to zastawianie
rzeczy wartościowych w lo-
bardzie, sprzedaż za bezcen
garderoby i mebli, kupowa-
nych kosztem wielkich wyrze-
czeń i nieraz przez lata, wre-
szcie kredyt w sklepiku. Bez-
robotni, którzy mieli krewn-
ych na wsi, wyprawiali się z
wózkami na plecach po kar-
tofle i mąkę.

Pewna, niewielka zresztą
pozycja w budżecie niektó-
rych bezrobotnych stanowiła
pomoc materialna instytucji
dobroczynnych, jak np. „Opie-
ki”, parafii kościelnych, czy



STAJĘ SIĘ CZYMŚ ZBYTECZNYM...

Ilu było bez pracy? ★ Lombardy i sublo-
katorzy u sublokatorów. ★ Budujemy mosty
dla pana starosty. ★ Nauczycielka służącą. ★
Los obrońców ojczyzny.

„Caritasu”. Njeco większa —
ustawowe zasiłki. Ustawodaw-
stwo ubezpieczeniowe obowią-
zywało w zasadzie od chwili
uzyskania niepodległości. Na
papierze ustawa wyglądała na
poważną zdobycz, w praktyce
jednak nierzadko po sobie
rządy burżuazyjne ogranicza-
ły zasiłki. Starsi ludzie z
pewnością pamiętają jeszcze,
że w roku 1932 wyszła usta-
wa ograniczająca zasiłki. Mi-
nimalny okres pracy upraw-
niający do ich pobierania
przedłużono z 20 tygodni do
28. W praktyce oznaczało to,
że robotnik, któremu nie u-
dało się przepracować w jednej
fabryce połowy roku, tracił
prawo do zasiłku. Tracili pra-
wo przede wszystkim robotni-
cy walczący, organizatorzy i
uczestnicy strajków, a więc
element najbardziej rewolu-
cyjny. Zresztą okres wypła-
cania zasiłku wynosił zaledwie
13 tygodni, podczas gdy lu-
dzie latami nie mogli znaleźć
pracy. Oczywiście, dla pew-
nej grupy robotników zasiłki
stanowiły podstawę utrzyma-
nia, inne natomiast kategorie
robotników, jak np. służba
domowa, w ogóle zasiłków
nie otrzymywała.

Nie można społeczeństwu
polskiemu odmówić ofiarności
na rzecz bezrobotnych, ale
zbiórki pieniędzy, odzieży,
czy żywności nie mogły roz-
wiązać problemu, który tkwił
głęboko w istocie ustroju.
Nie mogły go przecież rozwią-
zać, może nawet zabawne z
punktu widzenia współczes-
nego człowieka, dopłaty do bi-
letów kinowych i teatralnych,
do rachunków za zużycie pra-
du elektrycznego, kwitów ko-
mornianych, żarówek elektrycz-
nych, szafesów, gazu, a na-
wet dopłaty za jedzenie i
sluchanie muzyki w lokalach.
Zdumiewające doprawdy by-
ło rozumowanie władz burżu-
azyjnych. Przerzuwały one po-
móc bezrobotnym w kwie-
niu, gdyż uważały, że od ma-
ja do listopada bezrobotny
powinien znaleźć sobie zaję-
cie. Takiego zajęcia dostarcza-
ły tzw. roboty publiczne o-
twierane przez Zarząd Mie-
jski m. Łodzi, ale nawet w
najlepszych latach liczba za-
trudnionych nie przekraczała
8-9 tysięcy.

Dyskutujemy dziś często na
temat szans życiowych naszej

młodzieży, powiadamy, że są
to duże szanse. I w między-
wojennych latach zastanawia-
li się nad przyszłym życiem
młodzieży ludzie, którzy mieli
sumienia i troszczyli się o los
młodych.

Dyrektorka jednej ze szkół
handlowych na terenie Łodzi
zwróciła się listownie z zapy-
taniem do absolwentów z r.
1930, czy otrzymali posady i
w jakim stopniu odczuli kry-
zys? Na 21 absolwentów, któ-
rzy nadesłali odpowiedzi, za-
ledwie 3 otrzymało praktykę
biurową. Reszta żyła z dnia
na dzień, bez żadnej okre-
ślanej pracy. Jeden z absolwen-
tów pisał: „Uciekam z domu,
bo ojciec mój, zresztą sam
bezrobotny, nie może znieść
mego widoku, zwąc mnie
darmożjadą”. Inny: „Obym
jak najprędzej został pełnolet-
ni. Wtedy pójdę do wojska i
skończy się moja męczarnia”.
Jeszcze inny: „Czuje, że coś
złego dzieje się ze mną. Moje
podstawy moralne wiotczeją.
Cały entuzjazm do życia, jak
ki wyniosłem ze szkoły przy-
niemył bańka mydlana”. „Głos
Poranny” 22. X. 1932 r.)

Oto fragmenty listów nau-
czycielek poszukujących zaję-
cia:

„Ile nastaram się, by o-
trzymać pracę! Władam bez-
biednie w mowie i w piśmie,
nawet świetnie językiem fran-
cuskim, angielskim i niemiec-
kim. Prosiłam już tylekroć o
umieszczenie w dzielnicy jakiegol-
wiek treści, bo wiem, że wy-
konam zlecenie doskonale. Mo-
że mi Pani doradzi, jak mo-
głabym spieniężyć wiedzę?
Wykonuję również hafty, bla-
le, kilimy...”

Inny list do redakcji:

„Zwracam się do Was z za-
pytaniem, czy nie potrzebu-
je, względnie nie poleciłby
być komus osoby 21-letniej
po maturze seminaryjnej, kul-
turalnej, do zajęcia się dzie-
ciem, do osoby starszej jako
towarzyszkę i lektorkę, do
pomocy w gospodarstwie do-
mowym, względnie do samo-
dzielczego prowadzenia gos-
podarstwa domowego na skrom-
nych warunkach”. („Kobieta
w świecie i w Domu”, nr
20, 1931 r.)

Bezrobotni często protesto-
wali przeciwko swojemu po-
łożeniu. Przypomnijmy sobie je-
dną z najważniejszych form
ale bardzo ciekawych form
protestu. Bezrobotni członko-
wie Stowarzyszenia Byłych
Ochotników Armii Polskiej,
zabarykadowali się w swoim
łódzkim lokalu i odmówili
jakiegokolwiek retriaktacji
przed otrzymaniem pracy. O-
broncy ojczyzny chcieli mieć
w niej kawałek chleba. Po
60 godzinach strajku, jeden ze
strajkujących zemdlał z wy-
cieńczenia, resztę rozprędził
policja, a pracy nikt nie o-
trzymał.

Tak było w kraju, gdzie o-
brót pieniędzy na głowę wy-
nosił w 1930 roku zaledwie
50 zł, podczas gdy w Austrii
248 zł, w Czechosłowacji 132,
a we Francji 500 zł.

I jeszcze jedno zapamiętaj-
my. Obecnie poszukuje pra-
cy w Łodzi około 4 tys. lu-
dzi, tyleż wolnych miejsc ofe-
ruje Urząd Zatrudnienia.
Wprawdzie oferowane stan-
owiska nie zawsze odpowia-
dają np. kwalifikacjom i pie-
tę poszukujących pracy, ale
robi się zwłaszcza po ostatnich
dyrektywach władz partyjnych
w tej sprawie — wszystko-
aby te przejściowe trudności
w dziedzinie zatrudnienia
kwidować.

KRYSTYNA WOJTASIK

Teatr 7.15 „Komedia omyłek”
(The Comedy of Errors) Wi-
lłama Szekspira. Przekład Leona
Ulricha, reżyseria Janusza Kio-
sińskiego, scenografia Lecha
Kunickiego, opracowanie muzyczne
Piotra Hertla.

dopodobieństwo do absurdu,
do całkowitego odrealnienia.
Jest rzeczą jasną, że tego
rodzaju inscenizacja wyma-
ga jednak pewnej inwencji
reżyserkiej i dużego wysił-
ku aktorskiego, zwłaszcza fi-
zycznego.

„Komedia omyłek” stano-
wi w bieżącym sezonie naj-
ambitniejszą pozycję Teatru
7.15 (Szekspir — to brzmi
dumnie!), niestety, pod
względem repertuarowym
jedynie ambitna (widmo
„profilu” ciąży jednak nad
sceną przy ul. Traugutta). I
dlatego szkoda, że spektakl
nie daje pełnej satysfakcji.
Tylko dwie role są tu w
pełni udane: Antyfolus z
Efezu w wykonaniu Zdzis-
ława Józwiaka, który dał
pełnokrwistą postać „bui-
nego” renesansowego mło-
dzieńca oraz doktor Szezy-
pak wcielony w doskonałego
— bo farsowego — Stani-
sława Kamińskiego.

Scenografia Lecha Kunickiego,
pomysłowa i ciekawa w za-
łożeniu, przez zastosowanie

lukowatych ścianek rozbud-
owała scenę, co w warun-
kach Teatru 7.15 jest bardzo
istotne. Niestety, wykonanie
elementów dekoracji nie
zawsze wskazywało na dba-
łość, ale to już nie jest grze-
chem scenografa. Popelnil
on inny ubierając nieszcze-
ną Kurtyzanę w szatkę be-
dadzą skrzyżowaniem mody
cyrkowej z „Tellmeną”. Per-
sonel techniczny może mieć
do scenografa pretensję o
nadmierne obciążenie wno-
szeniem, wynoszeniem, przes-
tawianiem i ustawianiem ele-
mentów dekoracji. Sprawa
jest o tyle poważna, że cały
spektakl toczy się przy ot-
wartych kurtynie. Na szczęście
w tych trudnych chwilach
przychodzą im w sukurs
impresje muzyczne Piotra
Hertla.

The Comedy of Erros

Dokończenie ze str. 9

na temat żony Antyfolusa z
Efezu, Adriana, snuć można
przypuszczenia, że to sama
pani Szekspirowa posłużyła
jej za model. Ta postać, u
Plautusa o charakterze raczej
pomocniczym i marionetko-
wym, tu nabiera rumieńców
życia, staje się kobietą na-
miętnie zakochaną i głębo-
ko cierpiącą z powodu cho-
robliwiej zazdrości, zdręcza-
jąca tą zazdrością męża i sie-
bie (jedną: nie całkowicie
bez powodu). Jak się rzekło,
można tu snuć domysły na
temat osobistego życia poety,
który Ksienik kazał zbysz-
nąć Adriana słowami podejrz-
nie gorącym.

Jest jeszcze w „Komedii
omyłek” inna postać kobie-
ca — Lucjana. Postać tę
przepełnił autor wdziękiem, o-
toczył poetyczną aurą. Jest
tworem jego własnej wyo-
braźni i tworem epoki. Za
czasów Elżbiety romantycz-
na miłość wchodziła znowu
w modę. Lucjana, to pierw-
sza myśl poety o Julii Capu-
letti, a jej nocna rozmowa
z rozkochanym syrakuzan-
czykiem, to jakby próba
projekcja sceny z „Romea i
Julii”.

Reżyser „Komedii omy-
łek” w Teatrze 7.15, Janusz
Kłoskiński, właśnie odczytał
tę scenę, a i scenograf, idąc
za reżyserką myślą, zaakcen-
tował ją, przystrojając Lu-
cjane w szatę białą i zwię-
żoną. Jest niewątpliwą zasłu-
gą reżysera, że potrafił od-
naleźć ziarno poezji w tej
szekspirowskiej blażenstwie,
nie zdołał jednak nadać jej

bezbłędne kształtu scenicz-
nego. To samo można by
powiedzieć i o całym spektaklu
częściowo zapewne z winy
aktorów. (Alina Jurewicz
naprawdę nie powinna grać
Kurtyzanę), który Kłoskiński
rozwarstwił na poezję, ko-
medię i farsę, nadając cha-
rakter komediowy perypetia
mi dwóch bliźniaków — An-
tyfolusów, a ich służących
(ludząco do siebie podobni i
udani Dromiowie — Ryszard
Dembiński i Mariusz Gor-
czyński) czyniąc jakby far-
sowym odbiciem osób i pe-
rypetii panów. Farsa została
jednak w tym spektaklu zła-
godzona, a komedia, potrak-
towana serio, wymaga od
widza i od aktora, aby uwie-
rzyli w to, co się dzieje na
scenie. Co nie jest chyba
możliwe. „Komedia omyłek”
stanowi przecież w gruncie
rzeczy stek blażenstw i nie-
prawdopodobieństw i wyda-
je się, że najwłaściwszym
do niej kluczem insceniza-
cyjnym jest doprowadzenie
owych blażenstw i niepraw-

PUNKTY SPORNE

Kolejne numery „Przeglądu Kulturalnego” przyniosły m. in. obszerny artykuł p. Tadeusza Domaniewskiego, opatrzone wspólnym tytułem „Pieniądże i mózg”. Artykuły będące namierzeniem oskarżeń telewizji, a raczej stosunków w telewizji i niektórych telewizyjnych praktyk, artykuły chwilałami bardzo konkretne, a chwilałami — w kręgu spraw personalnych — pełne niedomówień i utajonych wielokropków.

W tej materii nie mamy też zamiaru podejmować wywodu Domaniewskiego; kilka jednak innych spraw wydaje się interesujących i wartych przynajmniej rozważyć.

I. PIENIĄDZE

Z tym, że pieniądze jest mało — zgadzamy się na ogół wszyscy. Sprawa jest jednak zbyt poważna, a jej konsekwencje zbyt daleko sięgające, aby rzecz można było zalać jednym, czy nawet stoma artykułami. Przyjdzie nowa debata budżetowa w Sejmie, być może znajdzie się w trakcie niej trochę czasu na omówienie spraw radia i telewizji, wówczas — zobaczymy.

Ale Domaniewski idzie dalej. Twierdzi — i zapewne nie bez racji, choć niesłusznie przekonująco — że niektóre przykłady nie zostały przytoczone — że również posiadane fundusze często są w telewizji wydawane niewłaściwie bądź przynajmniej przy padkowo.

„Jakże skromne są — zachowując wszelkie proporcje — zarobki twórcy telewizyjnego wobec zarobków adapterów, realizatorów, reżyserów i innych magików od telewizyjnej specyfiki, którzy często skutecznie opaskują pierwotny kształt dzieła. Stąd zalew adaptacji, przeróbek i nicowania, stąd — jak się wydaje — niechęć realizatorów do utworów oryginalnych, których zresztą autorem, zważywszy na śmieśnię niskie honoraria, nie oplaca się (wszystkie podkreślenia zgodne z oryginałem — red.) pisać.”

Może przesadnie, ale pisać — większość autorom — nie oplaca się rzeczywiście. Ostatecznie swego czasu — zagabnięty przez red. Pijanowskiego — dyrektor Pańskich odpowiadał publicznie na nasz, jeśli rzecz tak można, interpelację w sprawie oryginalnej twórczości telewizyjnej, obiecywał nawet poprawę, ale — jak dotąd — nie wiele się w tej materii zmieniło.

II. LUDZIE

Po poświęconym finansom wstępuje Domaniewski przechodzi do spraw personalnych. Nie jest konkretny, ale za to bardzo napaściłowy i nie mając talentów Ossowskićkiego, nie wiemy w końcu zbyt dokładnie, o co mu chodzi. Ale nie zgadzając się z nim, jakoby było tragicznie, zga-

dzamy się, że może być i nawet powinno być lepiej.

Tyle, że Domaniewski zakłada milcząco, że źródło wszelkich schorzeń i kłopotów tkwi wewnątrz — personalnych sprawach warszawskich; stąd też i tam jedynie usiłuje szukać lekarstwa. Nawet nie wpada na pomysł, że rzecz — przynajmniej w pewnym stopniu — rozstrzygnąć się może na zasadzie konkurencji.

Jest rzeczą doprawdy zadziwiającą, dlaczego nawet ludzie telewizji, uważający centralistyczny system organizowania programu za konieczność nie podlegającą nawet dyskusji. Ostatecznie ani telewizje zachodnio-europejskie, ani nawet niektóre telewizje krajów demokracji ludowych (NRD!) nie wychodzą najgorzej na systemie cokolwiek odmiennym, na systemie, w którym poszczególne ośrodki mają stosunkowo wolną rękę.

Oczywiście nie nawołujemy do konkurencji na sposób kapitalistyczny — to chyba jasne. Czy będzie jeden ośrodek dyspozycyjny, czy piętnaście, wszystkie przygotowane przez nie programy muszą wyrastać z kręgu jednej ideologii i jednego światopoglądu. I nikt nie wątpi, że ideologii socjalistycznej.

Ala — i to jest — przedmiotem nie jest — przedmiotem — bo ja wiem — gustów artystycznych, szczególnie w rzeczach drobnych, szczegółowych.

Może przykład. Pewien reżyser (wcale nie twierdząc, że akurat łódzki) zawiadomił pewnego autora, że pewna jego piosenka pójdzie w kolejnym programie rozrywkowym. Autor bardzo się ucieszył, choć finansowo miałby i tak figę z makitem, jako że rzeczoną utworu zakupiło już parę innych instytucji, między innymi radio.

Ale — niezadługo rzeczoną reżyser odplakal, co rzekł — Warszawa się nie zgadza — wyjął, i pozostawił autora w błogiej nieświadomości, co akurat w jego piosence było tak telewizyjnie niegodne.

Obecnie wspomniany utwór ma już trzy różne nagrania radiowe, wychodzi w nutach i na płytach, ale małego ekranu nie ujrzał. Kilka różnych ciał opiniodawców (m. in. za takie ciała uważam i wspomnianego reżysera) utwor przyjął, jedno — anonimowo — wszczęło — odrzuciło. I koniec, i nie ma apelacji.

Ostatecznie nie ma co się tak znowu piekło o jedną drobną piosenkę (choć podobna się piętnaście osobom, a tylko jednej nie, może akurat ta jedna miała rację?), ale tego typu praktyki są powszechne. Tyczą również do brzo „Kob” (regionalny ośrodek szaleje z radości, a Warszawa odrzuca — różnica gustów, ale gdzie dowód, czy jest gusty są lepsze?) i wielu innych rodzajów audycji.

Puśćmy na chwilę wodze fantazji. Przypuśćmy że jakiś reżyser — mający już staż telewizyjny, — wspólnie z paroma „firmowymi” saty-

rykami, daje prywatne słowo honoru dyrektorowi Pańskiemu, że zrobi niezłą audycję rozrywkową. Ani nikomu tekstów nie pokazuje, ani nigdzie z konspektami nie jeździ, tylko zaznacza, że rzecz będzie się obracała w kręgu — ja wiem — ballad podwózkowych.

Dostaje termin, budżet już ma — robi.

Potem przychodzi lista, krytycy całego kraju odbywają wielkie roki, jakaś tam komórka oceny programu — wotum nieufności. I wychodzi z obiegu, zostaje wyeliminowany wraz ze swoją nieudolnością i ze swoimi złymi gustami.

Pamiętając przy tym, że o bok wspomnianego reżysera w każdym ośrodku regionalnym jest przecież dyrektor, wicedyrektor i parę innych odpowiedzialnych osób, ryzykujemy twierdzenie, że tego typu walka konkurencyjna wyszłaby w ostatecznym rachunku tylko na zdrowie telewizji.

Tymczasem już w fazie wstępnej, już — jak rzekliby sportowcy — w przedbiegach, następuje podleganie wszystkich pod jeden strychniak, następnie równanie — Domaniewski powiada: „do średniego”, powiedzmy to inaczej — do jednego. Do jednego gustu i do jednego smaku.

Dodajmy jeszcze, że tylko zostawienie owego „marginu swobody” ośrodkom lokalnym, może zmobilizować lokalnych literatów, czy w ogóle twórców. Mając pomysły na — przypuśćmy — widowisko telewizyjne przez trzy dni z rzędu gotowi jesteśmy dyskutować (ale wiać zaciół) z dyrektorem Orlowskim, czy z kimkolwiek innym z LOT, ale nikt chyba nie zaryzykuje „pisanie w ciemno”, ani nie wydatkuje wstępnie połowy miesięcznego budżetu na jeżdżenie do Warszawy.

I tu jest pies pogrzebany. Jeżeli ktoś ma tak zwany pomysł — a wszelka twórczość pomysłami stoi — ma prawo domagać się, aby został on miarodajnie oceniony na miejscu. Ten ktoś (twórca) nie chce grać w tolotkę z nieznany mi bliżej gustami nieznanej mu opiniodawcy. Chce dyskusji, wymiany poglądów i decyzji.

III. JĘZYK

Trzecia (najkonkretniejsza) teza Tadeusza Domaniewskiego — wyłożona obszernie w jego artykule „Człowiek z okienka” („Przegląd Kulturalny” z dnia 15.II.br.) brzmi:

„Treść telewizji nie jest bynajmniej — jak chęliby myśleć niektórzy — teatr, nie jest film ani estrada. TV jest przede wszystkim — bo reszta musi być traktowana wtórnie — gazeta. Codzienna, najnowocześniejsza technicznie gazeta, mająca tę olbrzymią przewagę nad dziennikiem

drukowanym, że docierająca do czytelnika w momencie powstawania”.

Stwierdziwszy, co powyżej, Domaniewski naturalną rzeczą kolejną poczyną się zastanawiać nad sposobem podawania tej „tele-gazety”. Pisze:

„Mówić należy nie do całego od razu narodu, lecz do mnie i do mojej żony, którzy siedzimy po drugiej stronie ekranu. Mówić zwyczajnie, nawet konfidencko, bez używania wielkich słów, które w warunkach jednorodzonego mieszkanka nie chwytają. Sprawa, wydawałoby się prosta a — choć w tej dziedzinie przynajmniej trzeba pewną poprawę — ciągle się zdarza kaznodziejstwo.

I wodolstwo. I jakanie się. I gubienie wątku. I nieumiejętność wystawiania się po polsku. I ograniczone słownictwo. I brak wychowania. Ciałe kryteria regulujące dopuszczanie człowieka do okienka są zbyt liberalne”.

Nad sposobem podawania, a następnie nad językiem. Przypomniawszy, że „język radiowy ma swoją specyfikę, podnoszącą włosy na głowie polonisty”, specyfikę polegającą z grubsza na zbliżeniu

gramatyki i składni do gramatyki i składni mowy potocznej, autor przenosi te same kryteria w dziedzinę TV. „Próbuje się operowania kwiecistym stylem literackim, z jak najgorszymi tych prób efektami. Wystarczy posłuchać Dziennika TV, byle komentarza do filmu czy magazynu. Drewna mowa, lub zawyżająca sztuczność.

Jaki więc jest, jaki powinien być język telewizyjny. Ano zwykły, codzienny. Warto, aby lingwiści z TV tę prostą prawdę zrozumieli, a dziennikarze zaczęli ją praktykować”.

Tu — nie dodać, nie ująć. Jeżeli pozwoliliśmy sobie na tak obszernie, cytatałami wypełnione streszczenie tej części wywodów Domaniewskiego, to dlatego tylko, że przyobiecujemy w naszej skromnej praktyce sprawozdawczej zacząć stosować wyżej wyłożone kryteria. Chodziłoby nam więc o to tylko, aby nie było nieporozumień.

*) Pewne — wyżej wyłożone — tezy, są powtórzeniem publikacji poprzednich, ale w klimacie dyskusji o TV warto chyba czasem się powtórzyć.

A. A. contra B. B.



Kolejna konkurentka Brigitte Bardot! W odróżnieniu od B.B. nazywają ją w Paryżu A.A. prawdziwie nazwisko Agathe Aems. Występuje w filmie, ale ostatnio zajęła się nią francuska telewizja. Czy na tym gruncie A.A. pokona B.B. zobaczymy.



CZWARTEK, 1 MARCA BR.

10.00 — Program dla szkół (dla klas V-VII), język polski. Cykl: „Sylwetki wielkich ludzi”. Temat: „Spotkanie z autorami” (W). 10.30 — Przerwa. 16.40 — Program dnia (L. lok.). 16.45 — Program dla dzieci starszych „Tyrysek” — widowisko Hanna Janusiewicz. Reżyseria — W. Wietczkowski. Wykonawcy: zespół Teatru „Marszałek” (Poznań). 17.45 — PKF (W). 17.55 — „Nie tylko dla pań” — magazyn (W). 18.30 — Program muzyczny (Katowice). 18.35 — „Fakty i poglądy” (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Prosto do celu” — film fab. prod. USA (W). 21.00 — Ostatnie wiadomości (W). 21.45 — Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie — ewidencja wolne kobiety. Transmisja z Genewy (Eurowizja).

PIĄTEK, 2 MARCA BR.

16.45 — Program dnia i tygodnia (L. lok.). 17.00 — Program tygodnia (W). 17.20 — „Spotkania i opinie” (L. lok.). 17.45 — „Turbi- na 120” — program publicystyczny w opracowaniu Stanisława Goszkowskiego i Jerzego Krawczyka (Gdańsk). 18.20 — „Znak Zorro” — XIV odcinek filmu prod. USA (W). 18.35 — Wszelchnia TV: „Słowo lekarza” — program z cyklu „Szlachetne zdrowie” (W). 19.10 — Dziennik telewizyjny (W). 20.10 — „Perspektywy ONZ” — rozmowa z wiceministrem spraw zagranicznych Józefem Winiewiczem, która przeprowadzi red. Cezary Jasiński (W). 20.30 — Teatr Telewizji Katowickiej „Etiuda” — Andrzej Wydryński. Reżyseria — Paweł Komorowski. W roli głównej: Jerzy Kaliszewski (Katowice). 21.30 — Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie — ewidencja wolne kobiety. Transm. z Genewy (Eurowizja). 23.00 — Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA, 3 MARCA BR.

10.00 — Program dla szkół: dla kl. VI — biologia: „Nad wodą i w wodzie” (W). 10.30 — Przerwa. 11.00 — Program dla szkół (dla klas V — geografia. Cykl: „Krajobrazy i ludzie świata”. Temat: „Lasy” (W). 11.30 — Przerwa. 17.25 — Program dnia (L. lok.). 17.40 — Program dla dzieci: 1) „A co dalej?” — o książkach dla najmłodszych, 2) Teatrzyk „Violonka” (W). 18.35 — „Porozmawiajmy” — rozmowę o sprawach programu filmowego TV prowadzi red. Leon Pijanowski (W). 19.00 — „Pegaz” — magazyn kulturalny (W). 19.30 — Dziennik telewizyjny (W). 20.00 — „Mury Malapagi” — film fab. prod. franc.-wł. doz. od lat 16 (W). 21.30 — Mistrzostwa Europy w jeździe figurowej na lodzie — ewidencja wolne kobiety. Transmisja z Genewy (Eurowizja). 23.00 — Ostatnie wiadomości (W).

KRONIKA

SKANDALICZNA BARBARY RADZIWIŁŁÓWNY

Władysław Rymler

RAK, WSTYDLIWA (XVI) CHOROBA czy OTRUCIE

W styczniu i w lutym 1531 roku nastąpiło ponowne pogorszenie w stanie zdrowia Barbary. Utworzył się drugi wrzód, który dawał wysoką

gorączkę powodującą niebezpieczne osłabienie i wyczerpanie chorej. W początkach marca zaczęło już wątpić w wyzdrowienie królowej. W

„Iście Koszuckiego z dopiskiem na adresie „O bardzo niebezpiecznym zdrowiu królowej Jej Mości Barbary” sekretarz królewski powołuje się na opinię lekarza ordynującego, znanego pod imieniem Piotra z Poznania, i donosi, że nie się na lepsze nie zmienia i niebezpieczeństwo trwa. 5 marca 1531 roku przyszła nagła, chociaż krótkotrwała poprawa: „otworzył się (wrzód czyli ropień) za przyłożeniem plasterów” — donosi Zygmunt August szwagrowi Mikołajowi Radziwiłłowi Rudemu.

Witold Ziembicki w studium pt. „Barbara Radziwiłłówna w oświeceniu lekarskim” opierając się na dokładnej analizie korespondencji Zygmunta Augusta, ochemistrza Maciejowskiego i sekretarza królowej Koszuckiego oraz wzmianek współczesnych autorów odwarza przebieg choroby. W wyniku tej analizy Ziembicki wyprowadza szereg wniosków. Po pierwsze, upada stąd, utrzymująca się niegdyś legenda o otruciu Barbary przez Bonę. Podejrzenia takie powstały z powodu przedwczesnej śmierci Barbary, która zmarła w wieku 31 lat. W pewnym mierze przyczynił się do wywołania w opinii publicznej wątpliwości, co do naturalnej śmierci małżonki, sam król Zygmunt August, który w czasie pobytu Barbary w

Dubinkach ostrzegał wiernych domowi Radziwiłłów dworzan trucieliściem. W niemym stopniu podsycała te podejrzenia, wrogość i protest Bony przeciwko zwłazkowi małżeńskiemu syna z Radziwiłłówną. Wymieniano nawet sekretarza królowej-wdowy Ludwika Monti, jako wykonawcę zbrodni. Przeciwnie tej legendzie przemawia naszkicowany przebieg początku choroby. Przemawia przeciwko niej również rewelacyjne posunięcie królowej Bony, która 30 marca 1531 r. we wtorek wielkanocny wyprawiła do Barbary specjalnego posła w osobie oficera Franciszka Włocha. Poselstwo to wywołało na Wawelu zromulną sensację. Wspomniany parokrotnie historyk Bałłucki widzi w tym fakcie przedśmiertny triumf Barbary i w ten sposób opisuje uroczyste przyjęcie poselstwa: „Sama Barbara chociaż długim osłabieniem cierpieniem, królewskie obłeki szaty i pokrępa zemdłone siły widokiem ostatniego triumfu cnoty swej nad zwycięstwą nieprzyjaciół”.

Posel wystał wobec licznego zgromadzenia pań dworu i Rady senatu i złożył listy uwierzytelniające od królowej Bony i królewien, siostr Zygmunta Augusta, a mianowicie Zofii, Anny i Katarzyny.

Treść przemowy posła była patetyczna i wzruszająca. „Najjaśniejsza królowa Jej miłosc Bona, pani moja najmilsza, po długich i rozmaitych rozważaniach, gdy poznała, że taka jest wola Boga Wszelchmogącego, którego przedwieczne sądy wszystkim kierują na świat, gdy dostrzegła, że podobna wola jest i najjaśniejszego króla, najmilszego jej syna, której serce wciąż się nie godzi, ażeby waszą królewską miłość za małżonkę swoją miłą przyjął i za królową, a toż małżeńskiego wspólnie miał: przeto królowa starsza, pani moja, wasza królewską miłość za córkę swą i synową najmilszą uznać i uczelę pragnie, którą też istotnie przeze mnie, sługę swego a świadka jej przekonania, dziś powitać i nawiedzić raczy. Zycząc jej od Pana Boga Wszelchmogącego z teraźniej niemożną poprawę w zdrowiu na przyszłość i najszczęśliwszego powodzenia”.

Wreszcie, w najnowszych

czasach, przed wojną, wysunięto trzecią koncepcję, opartą na relacji wrogo usposobionego do Barbary dworzanina Bojanowskiego. Twierdzi on, jakoby Barbara zmarła na kile. Ale Bojanowski pisząc o „chorobie francuskiej” powtarza tylko pogłoski i nie odwołuje się do niczyjej autorytatywnej opinii. Ziembicki wypowiada pogląd, że Barbara zmarła na chorobę kobiecą, a mianowicie, wysięk ropny w jamie brzusznej, który przebieł powłoki brzuszne. Ze swej strony Ziembicki wysuwa nie mniej sensacyjną hipotezę, i przytoczył choroby upatruje w procesach infekcyjnych, powstałych na skutek leków, stosowanych jakoby przez królową Barbarę dla wywołania płodności, gdyż Zygmunt August gorąco pragnął potomka. „Do takich zabiegów mających wywoływać płodność należało między innymi, na przykład, stosowanie jako leku wewnętrznej woreczka napelnionego rozmarynem”.

(Dokończenie kroniki w następnym felietonie).

HISTORYJKI z WŁOSEM

Istnieją hipotezy, że to kobiety zmusiły mężczyzn do obdzierania zwierząt ze skóry. Chciały być piękne, a futro ponoć dodaje blasku i ciepła każdej niewieście.

Nasza epoka dąży do koegzystencji nawet ze zwierzętami. Dlatego wymyślono futra sztuczne i jeśli chemicy się postarają — myśliwi przestaną być potrzebni. Tworzywa zastąpią futra, a maszyny — fuzje.

Pierwsze jaskółki — ze sztucznego włosa, widać i w Polsce, na wystawach, tudzież paniach. Skąd? Z Widzewa. W Łódzkich Zakładach Włókien Sztucznych przerabia się pewne ilości anilany, czyli syntetycznego włókna poliakrylonitrylowego. Z Łodzi wędruje ono do Kaliskiej Fabryki Pluszów i Aksamitów. Tam dostaje się „w ręce” amerykańskiej maszyny, która w ciągu godziny wypuszcza 8-16 metrów bieżących pseudo-futerka. Podklejone i podstrzyżone wędruje w Polskę.

Obecnie można je kupić spod lady w sklepie w Zakopanem po 2.700 zł. W Łodzi — oficjalnie w Telimenie po 2.400 — ale w formie kurtki. Ponadto można je zobaczyć w dwu łódzkich instytucjach, z których każda pokazuje je jako swoje osiągnięcie. Z tym, że w jednym mówi się: „oto futro wykonane z włókna futerkowej”, w drugim: „oto futro wykonane z włókna poliakrylonitrylowego”. Ale to dla pięknych pań mniej ważne. Ważne, że futerka są ładne, lekkie i tanie (byłyby bardzo tanie, gdyby nie zabiegi odzieżowców, którzy przerabiają chemiczno-włókiennicze dzieło). Smutne, że małe — w ilości. Po uruchomieniu w Łodzi specjalnego zakładu anilany, będzie ich dużo, pewnie nawet za dużo. Na razie trzeba się cieszyć tym, co jest.

* * *

Czym dla kobiety futro, świadczy najlepiej przykład pewnej pani, która poruszyła kogo mogła, włącznie z ministrem — w sprawie futra. Kupiła w listopadzie, w lutym zaczęła interweniować (i to jak!), że się przetarło i zniszczyło po trzykrotnym (podobno) włożeniu. Sprawa przez szczeble i szczebelki trafiła do specjalnej komisji, która nie jest powołana do zajmowania się prywatnymi reklamacjami, ale reklamacjami przemysłu lub hurtu. W tym wypadku zakłopotana łódzka komisja musiała ulec. Odczytała na specjalnym zebraniu żądanie pani i jej list do ministra. Zaleciła w salomonowym wyroku: pani — używać futra ogólniej, zakładowi — który je wyprodukował „połatać” przetarcia, sklepowi — który sprzedał nie wymienić na inne (o to babce chodziło — chciała coś nowego za darmo), ministrowi — nie dręczyć się już tą sprawą, bo załatwiona.

PAMIĘTAJ ROZCHODZIE...

Powiadają chłopci: pamiętaj rozchodzie żyć z dochodem w zgodzie. A my w Łodzi, chociaż połowa z nas jest własnie chłopskiego pochodzenia, wcale nie pamiętamy o szczególe. Weźmy sobie dla przykładu sprawy kultury. Przeciwnie rzecz biorąc — teatr łódzki dotowany jest w wysokości ok. 2.618 tys. zł, a w Bydgoszczy 5.100 tys. złotych, teatr im. Słowackiego w Krakowie — 5.800 tys. zł, teatr „Wybrzeże” w Gdańsku otrzymuje — 7.250 tys. złotych.

Wynika z tego, że w tym roku zabraknie naszym teatrom ok. 1.700 tys. złotych. Nie ma jak ich zarobić. Frekwencja u nas nie jest gorsza niż gdzie indziej, ale spada wszędzie. Dochód pokazał rozchodowi figę, figę musi kupić chyba Rada Narodowa, jeżeli nasze teatry mają normalnie pracować.

Place aktorów łódzkich są mniejsze niż przeciętnie w Polsce, ale i tak brakuje dla nich w bieżącym roku około 3 mln złotych. Opera Łódzka zabrała w zeszłym roku 24 procent wszystkich dotacji Ministerstwa Kultury, w tym roku postuluje zabranie 50 procent sum, jakie posiada nasz Wydział Kultury. A znowu Łódzki Dom Kultury otrzymuje 1.702 tys. złotych dotacji, podczas gdy taki sam dom w Krakowie — 2.550 tys. No, a bałucki Dom Kultury dostaje 200 tys. złotych dotacji, co mu wystarcza na opał, światło i personel, na resztę brak.

Czas na pointe. Nie ma jeszcze pointy, ale pewnie będzie, jeżeli usilne starania o dodatkowe fundusze, jakie podejmuje KL PZPR i Rada Narodowa przyniosą zgodę pomieścić dochodem i dotacjami, a rozchodem.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Fot. Anatol Kobylński

„JENCY PRZEMYSŁU”

Łódzkie środowisko naukowo-techniczne ściśle związane jest z przemysłem i bardzo to sobie chwali. Ale, jak to przy każdym współzwiązku bywa i w tym naukowo-przemysłowym zdarza się niekiedy, że jedna ze stron chciałaby od drugiej odpocząć. Ponieważ nie zawsze da się to polubownie załatwić, a rozvodu wziąć nie można, powstają okolicznościowe zgrzyty. W okresie takich właśnie zgrzytów narodziło się podobno po wiedzenie „jency przemysłu”.

Są to ci, których kierownictwo danej placówki naukowo-badawczej przeznacza do okresowej ścisłej współpracy z jakimś zakładem pracy, lub zleca wykonanie (pilnie i natychmiast!) jakiegoś badania czy opracowania dla przemysłu. Jency czasem idą „ze śpiewem na ustach”, czasem z bólem w sercu, zważywszy, że tam — w ojczyście i etatowym miejscu, pozostawili ledwo co narodzone koncepcje, niedorośle badania i próby.

W pewnej placówce branżowej naukowo-badawczej, narady z przemysłem i konferencje osiągnęły liczbę kilkuset, godzinny temu poświęcone doszły do kilku tysięcy. Komisje oraz rewizje projektów inwestycyjnych zajęły przeszło półtora tysiąca godzin, a komisje badawcze mocy produkcyjnej przeszło dwa tysiące godzin. Piszę tak tajemniczo — bez podania nazwy i dokładnych liczb, aby nie zaszkodzić tym, o których mowa. Przemysł mimo zacytowanych wyżej liczb, chce jeszcze jeńców i uważa, że współpraca z nim tejże placówce jest niewystarczająca. Nie znamy się na tym, być może. Tylko, że jak tak dalej pójdzie pracownicy placówki będą musieli przejść na etat zakładów przemysłowych. W tej chwili przeznaczają dla nich 7 proc. swojego naukowo-badawczego dnia pracy.



CO Z TYM ŚNIEGIEM?

Właśnie, co z tym śniegiem, który leży na ulicach Łodzi? Pogoda zaczęła zresztą fiksować, do problemu śnieżnego doszedł problem gołoledzi. Nad tymi sprawami myślał, jak wiadomo, w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania. Przyznać zresztą trzeba, że nie tylko myślał.

Odpowiedzmy jednak na pytanie, co z tym śniegiem? Otóż śnieg z ostatniej sobotnio-niedzielnej zawieruchy zwieziono (jak zresztą zawsze) do ośmiu miejskich zyspów kanalizacyjnych. Tak więc rzecz można — utopiono problem. Mimo to jednak, przeciętnie około czterdziestu pracowników MPO dyżuruje nocami, aby na wypadek zawiei likwidować powstałe zatory.

Stan posiadania MPO wygląda aktualnie tak: dwanaście piaskarek, trzynaście lekkich pługów śnieżnych, trzy ciężkie oraz dwa superciężkie spychacze na gasienicach. Nie jest to co prawda tak wiele, jeśli zważywszy, że w wypadku np. gołoledzi owe dwanaście piaskarek naprawdę nie może podołać robocie. Zwłaszcza, że starym zwyczajem, większość dozorców ani myśli wziąć się za łopaty i piasek.

Etatowym, chciałoby się rzec, obowiązkiem MPO jest zresztą zabezpieczenie tras wylotowych (Rokicińska, Strykowska, Łagiewnicka i inne) oraz ulic, którymi biegną trasy autobusowe i tramwajowe. Natomiast etatowym obowiązkiem dozorców jest dbać o porządek przed swoimi posesjami. Ale tu dotykamy tematu tak starego, jak problem nieuprzejmego kelnera i dlatego zostawmy go satyrykom lubiącym odgrzewane dowcipy. Satyrykam i może... kolegom orzekającym.

WSTĄPIŁY DO PIEKIEŁ...

Bodajże w roku ubiegłym wydarzyła się taka historia, że łódzkie wytwórnie wyrabiające farby i lakiery zawarły zamówienia z jedną z central handlowych w Gliwicach na dostawę tychże farb i lakierów. Centrala ta zobowiązała się nawet do dostarczenia łódzkiej wytwórniom potrzebnych surowców.

Dzięki tej transakcji farby i lakiery łódzkie wędrowały do Gliwic i stąd dopiero dostarczane były na cały kraj. Do Łodzi również, Wstąpiły do piekieł, po drodze im było...

I lutego bieżącego roku z wielką pompą uruchomiono w Łodzi sklep pod nazwą „Majsterklepka”. Miały tam być wszelkiego rodzaju płyty pilśniowe — twarde, miękkie, perforowane, sklejka, płyty paździerzowe itp. Jednym słowem wszystko, czego potrzeba zapalonym majsterkowiczom, którzy na przykład chcą uzupełnić sobie meblowanie, zrobić klatkę na króliki czy zyrandol własnego pomysłu.

Przy sklepie utworzono warsztat stolarski, wyposażony nawet w pilę mechaniczną, żeby każdy klient mógł sobie na miejscu wszystko przykroć wedle gustu.

Poza narzędziami i farbami, które można dostać w każdym innym sklepie, „Majsterklepka” rozdzielona na cały I kwartał

tal towaru do majsterkowania za całą... 10 tys. złotych. Np. płyty pilśniowej sklep dostał raptem 50 arkuszy.

NAGROBEK „MAJSTERKLEPKI”

Majałek rozsprzedano w ciągu jednego dnia i teraz sklep „targuje” maksimum 200 złotych dziennie. Państwo Gordon, którzy we dwoje sklep prowadzą, dostali już rozstrój nerwowy z powodu powtarzania w kółko: nie ma.

„Majsterklepka” uruchomiła dyrekcja MHD Artykułami Gospodarstwa Domowego na

wyraźne życzenie społeczeństwa i oddanego wydziału Rady Narodowej m. Łodzi. Okazało się wszakże, że potrzebnych sklepowi artykułów nigdzie nie można dostać.

Z pewnych nieoficjalnych źródeł dowiadujemy się, że Biuro Zbytu Drewna — monopolista w swojej branży — od trzecia lat starało się o pozwolenie na otwarcie takiego sklepu. Pozwolenia nie dostało, więc być może... zresztą nie wyciągamy zbyt daleko idących wniosków.

Bez wdawania się w szczegóły można powiedzieć, że „Majsterklepka” w łódzkim wydaniu, to jeszcze jeden przejaw biurokratycznej durnoty. A miał to być taki miły i pożyteczny sklep. Niezbędne są wyroki... itd.

Wiadomości wrocławskie

W ŁODZI TO NIE WYCHODZI

W mieszkaniu wrocławianki, pani J. P. „nawalił” piecyk gazowy w łazience. W Łodzi oznaczałoby to sytuację bez wyjścia.

Pani J. P. była wszakże w lepszym położeniu, nie zapominajmy że rzecz dzieje się we Wrocławiu. Otóż owa pani podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Wrocławskiego Domu Usługowego, który miesiąc wcześniej, by mu nie płacić, ponieważ rachunek przy-
dzie pocztą.

Kiedy po paru dniach właścicielka ponownie działającągo bez zarzutu piecyka poszła uregulować otrzymany

rachunek (niski — 32 złote polskie!), była świadkiem takiej oto rozmowy:

Klientka (przez telefon) — Chciałabym prosić o przysłanie fachowego ogrodnika do uporządkowania ogródka...

Urzędnik — Przysłemy, jak tylko śnieg stopnieje.

Klientka — Prosiłabym też o przywiezienie białego piasku do piaskownicy.

Urzędnik — Będzie załatwione.

A u nas, proszę państwa, ta autentyczna historia robi wrażenie bajki. U nas, w Łodzi, to nie wychodzi. Pod względem usług wciąż jesteśmy bodajże na etapie wspólnoty pierwotnej, choć de facto posunęliśmy się przecież o kilka formacji społecznych naprzód.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa” Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,-, kwartalnie zł 12,- * Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Rucha” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 633 il. A 6